Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

50 GR

WIEM WSZYSTKO

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 19 Warszawa, Niedziela 31 maja 1936 r. Rok I

A co będzie jutro?...

Retrospektywny przegląd potęg europejskich

W górach Abisynji rozgrywa się ostatni akt tragedji państwa, ponoć najstarszego na ziemi, bo liczącego sobie bezmała dwa tysiące lat. Inkasentem klęski, obok Negusa, stała się więcej, aniżeli pośrednio również Wielka Brytanja. Genewa trzyma się jednak mimo to platonicznych sankcyj. A senator Borah, nowy kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych twierdzi mimo to, że Liga Narodów służy celom imperjalistycznym.

A tymczasem w rzeczywistości rzecz wygląda tak, że Anglik widzi ginącego Etjopczyka,

a nie widzi Sudańczyka, Hindusa,

czy innego kolorowego człowieka. Senator Borah współczuje z murzynami afrykańskimi, a nie widzi zlynczowanego murzyna amerykańskiego, powieszonego za gałęzi w stanie Luisiana. Liga Narodów dziecinnie usiłuje zahamować ekspansję Włochów w Afryce,

a nie umie zahamować ekspansji Japończyków w Azji.

Po drutach telegraficznych i telefonicznych, opasujących glob ziemski, przebiegają krótkie zdania i długie elaboraty na temat pacyfizmu, militaryzmu, imperjalizmu, cywilizacji, rasizmu. Sprawy, niby dalekie, a takie przecież bliskie... Bo powtarzają się od wieków.

Oto Hiszpanja! Paręset lat wstecz, jakieś 400, gdy w Hiszpanji panowali Habsburgowie. Cóż to była

za bitna i wojownicza nacja,

ci Hiszpanie. Cóż to w tych czasach wielkości Hiszpanji nie należało do niej. I Niderlandy (bez pomocy Zagłoby) i Neapol i Sycylja, Portugalja była wówczas tylko jedną z prowincyj hiszpańskich, a Arabom odpłacało się pięknem za nadobne i garbowało im skórę, gdzie się tylko dało: W Tunisie, w Algierze, potem w Maroku.

Później przyszły dalekie wyprawy za Atlantyk w ślad za Krzysztofem Kolumbem. Conquista całego niemal południa dalekiej wyspy amerykańskiej i wszystkich archipelagów, leżących

na wielkiej drodze żeglarskiej do Ameryki,

a nawet zdobycze po tamtej jej stronie, wyspy Hawajskie, Filipiny.

A dziś? Ostały się z tego wszystkiego jakieś marne strzepy. Czarnoskóry Abd - el - Krim omal nie wrzucił w morze całej hiszpańskiej armji, gdyby nie szef sztabu arabskiego arywisty,

sierżant Klemm, dezerter z francuskiej Legji Cudzoziemskiej.

Ubrdało mu się ni mniej, ni więcej, tylko, że kiedy Hindenburg wraz z Ludendorfem przegrali wojnę z Francją w Europie, on sierżant Klemm, musi wygrać ją w Maroku!

Hiszpanja wykończyła się ostatecznie swą własną wielkością. Jak Kartagina, jak Rzym, jak Polska wieku XVIII-ego, jak Szwecja, jak... Trudno wszystkie te wielkości wyliczać.

Oto Szwecja!

Szwedzcy Waregowie, to tak, jak nasi późniejsi Zaporożcy, co to zarzewie wojny aż do Stambułu na swych czajkach nieśli. Tylko, że Waregowie nietylko zapuszczali się aż po Morze Czarne w swych zwycięskich wyprawach, ale utrwalili w tej rozległej stepowej krainie swe panowanie. Inne

szczepy skandynawskie opierały swe lotne czółna

aż o brzegi Francji i Anglji, przywożąc stamtąd bogate łupy. Ba, nawet daleka lodowa Islandja „zaszczycona" była często, gęsto wizytami tych plemion.

Pocóż jednak sięgać tak daleko? W czasach nam bliższych Niemcy bronić się musiały długo przed inwazją Gustawa Adolfa; Polska przeżywała potop szwedzki, z którego, jak góra Ararat sterczała tylko jedna Jasna Góra. Rosja zawdzięczała tylko swemu

największemu władcy i twórcy nowoczesnego państwa Piotrowi Wielkiemu,

że jej zwycięstwo pod Połtawą nie stało się decydującą klęską. Szlakiem Waregów biegł Karol XII, aż ku swej żołnierskiej śmierci, która stała się nietylko końcem wiekowych walk o wybrzeża Bałtyku, ale kresem wszelkiej ekspansji, wszelkiej aktywności międzynarodowej. Potomkowie dawnych rajtarów zaczęli uczęszczać przykładnie do uniwersytetów ludowych, albo przewozić cudzy towar na własnych statkach, albo wreszcie rozdawać nagrody Nobla. A aktywność polityczną zamienili bez żalu na aktywność sportową.

I tak zawsze. Po erze wielkich i górnych wzlotów następuje w życiu narodów albo okres zupełnego wyczerpania, albo, co gorzej, zgnuśnienia i upadku tężyzny ducha. Poznaliśmy to najlepiej na własnej skórze. Biegliśmy sobie końskim kłusem do Moskwy, skąd Żółkiewski

przyprowadził na postronku carów Szujskich;

na rynku krakowskim przyjmowaliśmy hołd jednego z pierwszych wielkich Prusaków i znów spacerkiem zawadziliśmy husarją naszą o Wiedeń, skąd przywieźliśmy sobie parę worków świetnej tureckiej kawy. To było jeszcze — chwalić Boga — w wieku XVII-m. A w sto lat niespełna później doczekaliśmy się, że nieproszeni goście wyznaczyli sobie rendez - vous właśnie w Warszawie. Zjechali się więc i Moskwicin, gromiony ongiś przez Batorego i Żółkiewskiego i Prusak, co niegdyś rękę króla polskiego całował i Austrjak, którego ratowaliśmy z tureckiej opresji i który ze łzami rozczulenia w oczach

brał polską ziemię w niewolę.

Po wielkich, bardzo wielkich wzlotach, wielki upadek.

Brnijmy jednak dalej.

Francja Burbonów świeciła, jak słońce nad całą Europą. Le Roi - Soleil roztaczał pawi splendor wokoło, a gdzie uderzył mieczem, tam słupy graniczne słały się same pokotem. Francja Napoleona Wielkiego błysnęła, jak olbrzymi meteor, którego blask krwawił się od Madrytu po Moskwę, od piramid egipskich po San Domingo. A w ogonie meteoru — Polacy. Na San Domingo żyją po dzień dzisiejszy

murzyni o polskich nazwiskach:

Ścigalski, Kapara, Zaporski i t. p. Polscy murzyni — powiadają najgorętsi szermierze mocarstwowości. Szkodnicy rasy—mówią inni. Ale to na marginesie. W niespełna lat 60 po wyczynach wielkiej armji francuskiej— Sedan. Ostatni cesarz i ostatni **władca Francji w niewoli Prusaków.** Tychsamych Prusaków, których terytorjum składało się w 80% z ziem zrabowanych Polsce. Cóż dziwnego, że pod Gravelotte orkiestra pruska grała polskiemu Bartkowi - zwycięscy do ataku „Jeszcze Polska nie zginęła"?

Dziś cała zagraniczna polityka francuska skupia się na jednem kapitalnem zagadnieniu:

bezpieczeństwa przed nową inwazją niemiecką.

W sto lat niespełna, po wielkich wzlotach...

Dziedzictwo Hiszpanji objęła Anglja. Anglja trójdzielna: Anglja, Szkocja i Walja. Coś, jak dawna Korona i Litwa. Każdy król polski z Jagiellonów był wpierw Wielkim Księciem Litewskim. Każdy król angielski jest wprzódy księciem Walji. 40 miljonów Anglików panuje nad połową świata. Austrja panowała niegdyś nad połową Europy; opierała swe władztwo od Apenin po półwysep iberyjski. A dziś? Włosi, których miała za swych wiernych poddanych na wyżynach Lombardji i Piemontu, dziś

gwarantują nienaruszalność

jej skromnych, jakże skromnych granic.

Po wielkich wzlotach — upadek. Wszystko wraca z czasem do swych naturalnych granic. Szwecja bardzo dobrze się czuje na swoich tylko ziemiach; Austrja właściwa składa się tylko z Austrjaków. Francja nie wybiera się z Wielką Armją ani na Wiedeń, ani na Madryt, na Berlin, czy Moskwę. Rosja częściowo przynajmniej, na zachodzie, cofnęła się

w swe naturalne granice pod naporem żołnierza polskiego.

Turcja w ciągu kilku lat zaledwie, straciła panowanie nad wszystkiemi ludami nie tureckiemi i wyszło jej to tylko na dobre. Co krok nowy przykład. Ani ich wyliczyć niepodobna.

Sic transit...

Th.

Zamiast szabli — miotła

Czy Cię nie wstyd, Rzeczypospolito?

Nie spodziewaliśmy się nawet, że nasz artykuł p. t. „Murzyn zrobił swoje", zamieszczony w ostatnim numerze WIEM WSZYSTKO, wywoła tak żywe zainteresowanie w kołach oficerów rezerwy. Na biurku naszem leżą liczne listy, pochodzące od oficerów, którzy wywodząc się z różnych przedniepodległościowych formacyj, a którzy dziś jednakowo odczuwają ciężki los, w jakim walczyć im przychodzi w niepodległej Polsce, za którą przelewali krew, a ich koledzy, kto wie, czy nie szczęśliwsi nawet życie swoje tej Polsce w ofierze złożyli.

Dowiadujemy się przedewszystkiem z tych listów, że takich oficerów rezerwy, a nawet członków Związku Oficerów Rezerwy, którzy pracą fizyczną ciężko zarabiają dla utrzymania egzystencji swych rodzin, jest bardzo wielu w całej Rzeczypospolitej. Niech nam przeto będzie wolno do przykładów, podanych w poprzednim numerze dodać jeszcze kilka.

Oto podporucznik rezerwy. J. K., członek Związku, pracuje w **charakterze zamiatacza ulic** w Zakładzie Oczyszczania Miasta w Warszawie. Czyż to nie jest jednym z największych skandali, że człowiek, który dowodził na froncie oddziałem, narażał swe życie, po ugruntowaniu i to za jego sprawą granic Polski, nie może w tej Polsce znaleźć innego zajęcia, jak zamiatacza ulic i to w zakładzie, w którym do niedawna naczelnym dyrektorem był **sierżant, siedzący dziś w kryminale?** Czy sumienie społeczeństwa nie wzdryga się na myśl, że po wszystkich urzędach pełno jest miernot, a nawet żon wysokich nieraz dygnitarzy, gdy ten, co Polsce niepodległość wyrąbywał, dzisiaj ulice zamiatać musi? Gdybyśmy nawet przyjęli, że ten dzisiejszy zamiatacz ulic jest też miernotą, to w każdym razie należy mu się pierwszeństwo przed miernotą, która jeszcze koszulę w zębach nosiła, gdy on bił się za Polskę.

Oto podporucznik rezerwy L. W. pracuje w charakterze **windziarza w sanatorjum miejskiem** w Otwocku! I jakby dla ironji, znowu tam, gdzie do niedawna rządy spełniał inny kryminalista bez wykształcenia!

Idźmy dalej: porucznik rezerwy T. N. z odznaczeniami za waleczność zatrudniony został przez Fundusz Pracy na Rakowcu (Warszawa) w charakterze **wyrobnika dziennego.**

Kapitan rezerwy M. posiada na swem utrzymaniu 7 osób, z których tylko jedna **zarabia 60 złotych miesięcznie.** Za 60 złotych trzeba wyżywić 7 osób, ubrać je, zapłacić mieszkanie. Kto dokona takiego cudu? Sam

(Dokończenie na str. 2-ej).

(Dokończenie ze str. 1-ej).

kapitan od dłuższego czasu pozostaje bez pracy.

Podporucznik rezerwy M. P. pracuje jako robotnik na Powązkach. Podporucznikowi rezerwy Z. D. Państwowy Urząd Pośrednictwa Pracy kazał się zgłosić do pracy z własną łopatą.

I dzieje się tak mimo, iż istnieją już od szeregu lat okólniki, polecające przy przyjmowaniu do pracy dawać pierwszeństwo przedewszystkiem byłym kombatantom. Dzieje się tak, mimo, iż istnieje okólnik podpisany przez b. premjera p. Bartla, zabraniający zwalniania z pracy oficerów rezerwy. Ale ten, czy inny dygnitarz państwowy, czy prywatny kpi sobie z takich okólników, jeśli za niemi nie stoi całe społeczeństwo. A to społeczeństwo, męczone walką o egzystencję zapomniało już o zasługach byłych kombatantów. Każdy **dba tylko o swój pełny brzuch.** Więc co go obchodzi, że w Polsce żyje dziś kilka tysięcy bezrobotnych legjonistów, nie mówiąc o inwalidach, oficerach rezerwy i innych byłych kombatantach.

Powiedzmy sobie otwarcie i nie ukrywajmy, że Polska nie umiała zapewnić jakiego takiego bytu swym najlepszym synom, kombatantom i że kombatanci innych państw mówią o tem głośno. Istnieje np. ustawa, że podoficerzy zawodowi po wysłużeniu przepisanych lat, mają otrzymać posadę rządową, lub samorządową. Dba się więc o podoficera i słusznie. Ale niemniej słusznie należy dbać i o oficera rezerwy, tem więcej o byłego kombatanta. Po 15 latach od chwili zakończenia wojny polsko - bolszewickiej ani jeden rząd polski, ani jeden sejm nie zdobył się na ustawę, **zabezpieczającą jako tako byt byłego oficera - kombatanta.**

A teraz wyobraźmy sobie, że wybucha wojna. Porucznik M., odznaczony Krzyżem Niepodległości, z ukończonym wyższym zakładem naukowym, który dziś jest stojakiem na robotach publicznych, obejmuje dowództwo oddziału, w którym podoficerem będzie jego dzisiejszy szef, bo mu odpowiednia ustawa gwarantuje posadę rządową, lub samorządową. Podporucznik K., dzisiaj zamiatacz ulic stołecznych, zamieni miotłę na szablę i dzisiejszego swego szefa otrzyma za pucybuta. I t. d. Paradoksy, których możnaby się śmiać, gdyby w swej wymowie nie były tragiczne.

Ale w nadesłanych nam listach znajdujemy nie tylko skargi na istniejący stan rzeczy. Znajdujemy również projekty, nieraz bardzo konkretne, których wprowadzenie mogłoby zmienić sytuację i zapewnić byt oficerowi rezerwy. Świadczy to, że oficer-kombatant **nie poddał się tak bez reszty swemu losowi,** w jakim pozostawiło go państwo i społeczeństwo, że walczy wciąż jeszcze i że się czegoś spodziewa, mimo, iż wszystkie dotychczasowe spodziewania zawodziły go.

Z jednej więc strony, zwracają nam oficerowie rezerwy uwagę, na przykład Niemiec. Rzesza niemiecka, w chwili obejmowania rządów przez Hitlera liczyła nie mniej, jak 7 miljonów bezrobotnych, pozostających na utrzymaniu państwa. Pojmijmy dobrze tę cyfrę; siedem miljonów ludzi oderwanych od życia gospodarczego narodu i państwa, siedem miljonów nie produkujących i konsumujących bardzo niewiele. W ciągu 3 lat rządów narodowi socjaliści **zdołali zatrudnić 5 miljonów tych bezrobotnych.**

Pięć miljonów parjasów przywrócono życiu gospodarczemu. Na tak świetny rezultat złożyło się sto procent wysiłków tych, którym Hitler polecił przeprowadzenie trudnego dzieła i niezliczona ilość czynników rzeczowych. Zajmiemy się przedewszystkiem dwoma, gdyż użyjemy je jako argumenty. Przedewszystkiem **przywrócono kobietę rodzinie.** Kazano jej być znowu żoną i matką i wychowywać nowe, odrodzone pokolenie niemieckie. W ten sposób usunięto z biur i z różnych przedsiębiorstw masy kobiet, które bardzo często pracowały nie na życie, które miały zapewnione, lecz na futra, szminki, czekoladki i t. p. Na miejsce zwolnionych kobiet przyjęto bezrobotnych młodych mężczyzn, którzy nie zaznali jeszcze wogóle dobrodziejstwa pracy. Kobieta stała się znów aniołem domowego ogniska, mając zapewniony byt przy boku męża. W budżecie brak było wprawdzie jej zarobku, ale rezygnowała z niego mniej, lub więcej chętnie na rzecz bezrobotnych parjasów. Futro już miała, ze szminki i z czekoladek zrezygnowała, na kino i kawiarnię wystarczyły zarobki męża.

Tymczasem u nas obserwujemy zjawisko wręcz przeciwne. W każdem biurze pierwszeństwo ma kobieta przed mężczyzną.

Drugim czynnikiem, który walnie przyczynił się do rozwiązania problemu bezrobocia w Niemczech jest obowiązkowa służba pracy. Obok elementu wychowawczego i wojskowego, służba pracy przyniosła z sobą również element, który zaważył poważnie na rynku pracy. Służba pracy odciąga bowiem każdorazowo z rynku pracy pół miljona młodzieży, która jednak nie leniuchuje, ale pracuje tam, gdzie praca wolnego najemnika nie kalkuluje się, gdzie wydatek na robociznę, albo by się nie amortyzował, albo zamortyzowałby się zbyt wolno. Przymierzmy teraz, czy taka obowiązkowa służba pracy nie mogłaby zostać dopasowana do naszych stosunków. I my mamy kilkaset tysięcy bezrobotnych. I my mamy do oszuszenia błota, a ponadto mamy nieuregulowane rzeki, które rok w rok wylewają, mamy stan dróg, niczem Abisynja, mamy całe połacie kraju nie zelektryfikowane i t. d. Nie wyliczajmy wszystkiego, bo brakłoby miejsca. Służba pracy, będąca jednocześnie przygotowaniem wojskowem, odciążyłaby z jednej strony rynek pracy, z drugiej strony wchłonęłaby w charakterze kierowników, instruktorów, czy innych funkcjonarjuszy, tych inteligentów, którzy dziś marnują się bezproduktywnie. Służba pracy wciągnęłaby w życie również oficerów - kombatantów, zatrudnionych dziś w charakterze zamiataczy ulic, stojaków, brukarzy, kamieniarzy i t. p.

Całokształt tego problemu z punktu widzenia gospodarczego będziemy mieli sposobność omówić wkrótce na łamach naszego pisma. Dziś szkicujemy tylko ten problem z jednej strony: od strony problemu bezrobocia wśród byłych kombatantów.

Polska racja stanu wymaga, aby były kombatant miał zapewniony byt. Polskie społeczeństwo musi wyzwolić byłego kombatanta oficera z poniżenia, w jakiem się znalazł. Musi usunąć tego zamiatacza z ulicy i tego windziarza z sanatorjum i innych, którzy w ten sposób ratują siebie i rodziny od głodowej śmierci. Póki czas, póki ten kombatant - oficer nie rzuci na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość ostatecznego przekleństwa. Póki nie palnie sobie w łeb, tak, jak to już zrobiło kilku jego kolegów.

Niech społeczeństwo, sejm i rząd usłyszą ten krzyk rozpaczy. **bur.**

Od zarazy i takiego starosty...

Dlaczego go tak długo tolerowano?

Rewelacje WIEM WSZYSTKO o niesławnej pamięci ex - staroście włocławskim p. Murmyle, opublikowane w nr. 10 wywołały olbrzymie wrażenie, zwłaszcza wśród czytelników naszych z terenu byłych rządów skompromitowanego urzędnika.

TO JESZCZE NIE WSZYSTKO

Prasa tamtejsza, przedrukowując skrupulatnie wszystkie szczegóły naszego artykułu, podkreślając odwagę pisma, które zdecydowało się zedrzeć zasłonę wstydliwie okrywającą p. Murmyłę, stwierdziła jednocześnie, że artykuł nasz zawierał **zaledwie część jego „wyczynów"**, które stały się ponurą udręką mieszkańców całego powiatu.

Uwaga prasy miejscowej skłoniła nas do zebrania dalszych informacyj o smutnej pamięci staroście - kacyku. Ramy naszego tygodnika niepozwalają nam na wyczerpującą publikację wszystkich szczegółów, które w wielu wypadkach nietylko zdumiewają, ale wywołują... odruch wstrętu, zwłaszcza, jeśli pamięta się, że tak właśnie postępował nie jakiś gangster czy aferzysta, ale — **wyższy urzędnik administracji państwowej,** nieomal pan życia i śmierci tysięcy ludzi zamieszkałych w obrębie jego powiatu.

NARESZCIE NIEMA GO

Niema dostatecznie twardych i surowych słów, któremi trzebaby było napiętnować „wyczyny" p. starosty i cieszyć się tylko należy, że władze zwierzchnie zdecydowały się wreszcie p. Murmyłę „zlikwidować", o czem powiat włocławski **marzył tak bardzo długo...**

Ale — nie bądźmy gołosłowni. Oto garść dalszych szczegółów z pięknego bukietu wyczynów p. Murmyły w okresie pełnienia przezeń funkcji starosty powiatowego we Włocławku.

W PIJANYM ZWIDZIE

Jak już wspominaliśmy w poprzednim artykule — p. Murmyło nie gardził zaglądaniem do kieliszka. Nie jest to bynajmniej zbrodnia i wszystko byłoby w zupełnym porządku, gdyby p. Murmyło potrafił zachować umiar, niezbędny dla człowieka piastującego tak poważne i odpowiedzialne stanowisko. Ale oto po jakiejś procesji w oktawę Bożego Ciała w roku 1935, gdy to p. Murmyło prowadził w czasie tejże procesji ks. Pruskiego, po uroczystości został zaproszony **na przyjęcie do klasztoru OO. Reformatów.** Na przyjęciu tem, p. Murmyło swoim zwyczajem upił się do nieprzytomności, obżygał dokładnie refektarz klasztorny i w stanie godnym najwyższego pożałowania zawlókł się do restauracji przy hotelu Polski. Pojawienie się starosty, straszliwie ubrudzonego, zataczającego się od ściany do ściany, o tak późnej porze (była godzina 1-sza w nocy), wywołało wśród gości restauracyjnych panikę, zwłaszcza, że p. Starosta ściągał obrusy ze stołów, tłukł nakrycia, przewracał stoliki i krzesełka, obecnych **częstując epitetami** dalekiemi od słownika używanego w mniej więcej przyzwoitem środowisku.

INNA KOMPROMITACJA

Na szczęście w restauracji znajdował się wówczas dowódca 14 p. p. ppłk. Sudoł, który **polecił towarzyszowi swemu mjr. Fiszerowi** odprowadzić pijaniuteńkiego i coraz bardziej awanturującego się starostę do domu.

W parę tygodni potem p. Murmyło zjawił się do restauracji „Zacisze", gdzie poznał Jana Niwińskiego. Po dłuższem, wspólnem pijaństwie, Niwiński zaczął wymyślać staroście, używając niesłychanie ordynarnych słów. Mimo, że w restauracji znajdowali się **liczni świadkowie tej gorszącej sceny,** starosta nie reagował.

UCIECZKA PRZED POLICJANTEM

W parę dni potem, w miejscowości Kowal odbywała się uroczystość poświęcenia lokalu ośrodka zdrowia. Starosta wrócił z tej uroczystości około godziny 10-ej wieczorem dokładnie pijany i zataczając się od ściany do ściany, na pryncypalnej ulicy Włocławka 3-go Maja **zaczepiał samotnie przechodzące kobiety** w tak ordynarny sposób, że te uciekały z krzykiem, wzywając pomocy policji. Obecny wówczas na posterunku nieopodal policjant Jachimiak, obawiając scysji początkowo schował się, gdy jednak awantura przybierała już większe rozmiary, posterunkowy wyszedł z ukrycia, co widząc p. Murmyło czemprędzej zbiegł, chowając się w gmachu starostwa. Świadkami tej awantury oprócz wymienionego posterunkowego Jachimiuka, byli: przod. Szydłowski, szofer ze Starostwa i szofer Majewski z Włocławskiej ochotniczej straży ogniowej.

KONIACZEK W CUKIERNI

Nie mija tydzień, a oto nowa awantura. Starosta, pijaniuteńki przychodzi do cukierni Terpica i w obecności licznych gości żąda... kaniaku. Spotkawszy się z odmowną odpowiedzią robi karczemną burdę, krzycząc właścicielowi cukierni aby następnego dnia zgłosił się do Starostwa, a **otrzyma koncesję na wyszynk....**

W czasie osławionego przyjęcia urządzonego na cześć niemieckich pilotów balonowych, patrz Nr. 13 „W. W.", rachunek za które to przyjęcie wynoszący kilkaset złotych, zapłacili „zaproszeni" Niemcy, p. Murmyło znudzony towarzystwem wyszedł na ulicę i zaczął ordynarnie zaczepiać kobiety, wywracał kubełki z wodą, stojące przed studnią, wreszcie zaczepił jakąś **dziewczynę uliczną i zabrał ją do... Starostwa.**

Pełniący w gmachu urzędu służbę posterunkowy, zawiadomił o tem starościnę, która męża zabrała do mieszkania, a policjant wyrzucił dziewczynę na ulicę.

JESZCZE CIEMNIEJSZE PLAMY

Nie tylko jednak do burd karczemnych sprowadzała się „działalność" p. Murmyły. Starszy posterunkowy służby śledczej Winiarczyk otrzymał polecenie przeprowadzenia wraz z referentem bezpieczeństwa starostwa dochodzenia w sprawie rzekomych nadużyć popełnianych w Związku Rzemieślników Żydów we Włocławku. W czasie dochodzenia tego stwierdzono niezbicie, **że 3-ch referentów starostwa... pobierało łapówki** w gotówce i prezentach.

Wyniki dochodzenia przedłożone staroście, pozostały bez dalszego biegu, a st. post. Winiarczyk otrzymał polecenie zachowania bezwzględnej tajemnicy o wynikach prowadzonego dochodzenia...

CUCHNĄCY BUKIET

Nie będziemy tu już pisali o aferze „Dziennika Kujawskiego", o „tajemniczych zaginięciach" z magazynu komitetu pomocy bezrobotnym przy Starostwie **50 furmanek kartofli,** które potem „odnalazły się" w majątku Liedkiego, o mące sprzedawanej z tegoż komitetu osobom postronnym, o zakwestjonowanej broni palnej, o bogatej „działalności" **brata p. starościny p. Władysława Lachczyka.** O zatuszowanych nadużyciach wójta Kozyra, burmistrza z Brześcia Kujawskiego Stypy, sekretarza gminnego Szewczyka czy urzędnika Starostwa Żółtowskiego. O tem wszystkiem nie będziemy pisali, musielibyśmy bowiem, chcąc szczegółowo omówić całokształt paroletniego urzędowania b. starosty Murmyły, poświęcić temu tematowi cały numer WIEM WSZYSTKO.

DLACZEGO MILCZANO?

Nas w konkluzji interesuje co innego. O działalności p. starosty Murmyły mówiono wiele, bardzo wiele. Wojsko, duchowieństwo, policja, co śmielsi i uczciwsi obywatele wskazywali czynnikom zwierzchnim **na niemoralność pozostawiania p. Murmyły** na stanowisku starosty.

Niestety, lata mijały, a p. starosta „rządził", a raczej „murmlił". Nie jesteśmy powołani do tego aby wykrywać protektorów p. Murmyły, ale na-

(Dokończenie na str. 3-ej).

Bez przesady, PISTowa dziatwo

P. Zelwerowicz jest wielkim artystą, ale...

Koniec wiosny i początek letnich miesięcy rozpatrywane przez popularnego szarego człowieka pod kątem: będzie pogoda czy jej nie będzie, są dla licznych rzesz aktorstwa okresem, kiedy to ważą się losy nietylko sceny polskiej, ale **setek ludzi ze sceną tą mniej lub więcej ściśle związanych.**

Tegoroczny „poważny stan“ teatrów stołecznych nabiera specjalnie ważkiego znaczenia, bowiem szereg znaków na „ziemi i niebie“ wróży nader zasadnicze zmiany w dotychczasowej strukturze taetralnej.

BĘDĄ ZMIANY?

Trudno już dzisiaj przesądzić te czy inne fakty. Mimo to, zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że koncern Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej nie ostoi się w dotychczasowej formie, mimo usilnych starań najlepszego kupca teatralnego stolicy p. Arnolda Szyfmana, którego nadwornym „pisatielem“, jak słusznie zaobserwował w jednej ze swych recenzyj teatralnych Antoni Słonimski, stał się obecnie ni mniej ni więcej tylko... Andrzej Włast, **sławny „drewniany rycerz“ nieustraszenie walczący o... wdzięki Niuty Bolskiej z nieboszczykiem Tołłoczko.**

Nie odbiegajmy jednakże od tematu.

SZANSE „MISTRZA“

Arnold Szyfman kurczowo trzyma się dotychczasowej koncepcji koncernu, jednakże, jak zaznaczyliśmy szanse jego są równie nikłe, jak szanse osławionego mistrza Aleksandra Zelwerowicza za utrzymanie się **na stanowisku dyrektora PIST‘u,** bądź uzyskaniu przynajmniej stanowiska dyrektora teatrów peryferyjnych w koncernie T. K. K. T.

Nie bez odcienia radości musimy stwierdzić na tem miejscu, że akcja WIEM WSZYSTKO à propos p. Zelwerowicza nie poszła na marne. Od pierwszej chwili istnienia naszego pisma, stale i konsekwentnie podkreślaliśmy niewłaściwości tolerowania p. Zelwerowicza na odpowiedzialnem stanowisku dyrektora państwowej uczelni tworzącej kadry przyszłego aktorstwa polskiego.

NIEWŁAŚCIWY CZŁOWIEK

Od pierwszej chwili, podkreślając niewątpliwie zasługi p. Zelwerowicza na odcinku scenicznym, przyznając mu niewątpliwy i nieprzeciętny talent aktorski, a częściowo nawet reżyserski, z całą stanowczością podkreślamy, że człowiek ten, niewątpliwie bardzo wartościowy na deskach scenicznych, jest **absolutnie nie do zniesienia** na piedestale wychowawcy młodzieży.

Dalecy od jakiegokolwiek szowinizmu, pełni uznania dla teatralnych walorów Meierholda, Tairowa czy Wachtangowa, kategorycznie musimy przeciwstawić się przeszczepianiu być może nawet kapitalnych metod pracy naszego wschodniego sąsiada na teren bardzo niedowarzonego młodego pokolenia teatralnego Polski, przeszczepiania **w tak bardzo bezkrytycznej formie, jak to miało miejsce w PIST-cie** za rządów p. Zelwerowicza, a wykładów p. Schillera.

FAŁSZYWY KROK

Pozatem mamy prawo mniemać, że moralny kręgosłup p. Zelwerowicza jest zbyt... specjalny aby ten niewątpliwie utalentowany artysta mógł być równie utalentowanym wychowawcą młodzieży. Przysłaniając wualem milczenia fakty bardziej osobistej natury, przypomnimy tu chociażby smutne, bardzo smutne wystąpienie tego pedagoga naszej młodzi teatralnej **w.... procesie ukraińskich terorystów.**

Gdyby ten krok zrobił powiedzmy p. Damięcki, byłoby nietylko wszystko w porządku, ale kto wie czy z najwyższem uznaniem nie podkreślilibyśmy moralnego odrodzenia Damiana. Faktem jest, że takie ustosunkowanie się do jawnych wrogów Rzeczypospolitej, opłacanych przez obce i wrogie nam państwa, byłoby w interpretacji wspomnianego aktora może ryzykownym, może bardzo teatralnym, **ale tem niemniej ładnym i odważnym gestem.**

Zgoła inaczej wypadł ten „gest“ w interpretacji mistrza Zelwerowicza, któremu Rzeczpospolita powierzyła wychowywanie przyszłych asów sceny polskiej.

Ten „fałszywy krok“ p. Zelwerowicza podkreśliliśmy we właściwym czasie i mieliśmy prawo przypuszczać, że p. Zelwerowicz, dorosły i rozsądny mężczyzna potrafi wyciągnąć z uwagi naszej, która, bez zarozumiałości śmiemy przypuszczać, była nietylko naszą, **potrafi wyciągnąć odpowiednie wnioski.**

POPIERSIE MISTRZA

Ale... aktorzy to wielkie dzieci. I p. Zelwerowicz w tej dziecięcej rodzinie nie stał się bynajmniej wyjątkiem. Bo oto nietylko, że nadal pozostał w PIST-cie nietylko, że dalej „amcił“ rozkoszując się wschodniemi posmaczkami o konkretnym zapachu dziegciu i chlebnego kwasu, ale w swym talencie pozyskiwania sobie bezkrytycznych młodzieniaszków doszedł tak daleko, że uczniowie PIST‘u, ściślej mówiąc **grupa t. zw. „zelwerczyków“ postanowiła,** czując pismo nosem, że jednak pod nogami uwielbianego „mistrza“ usuwa się ziemia, postanowiła, podkreślając jego rzekome zasługi dla Sceny Polskiej ustawić w Teatrze Narodowym popiersia p. Zelwerowicza.

DLACZEGO WŁAŚNIE ZELWEROWICZ?

Jak zaznaczyliśmy już parokrotnie na wstępie, w całej rozciągłości doceniamy nieprzeciętny talent sceniczny p. Aleksandra Zelwerowicza. Jako rówieśnik Węgrzyna, Jaracza, Osterwy, a młodszy kolega mistrza Solskiego dał się poznać polskiej publiczności teatralnej z jaknajlepszej strony, aczkolwiek — przesadą byłoby twierdzić, **że zakasował któregokolwiek z wyżej wymienionych kolegów.**

Mimo to, w foyer Teatru Narodowego, obok popiersi nieżyjących asów naszej sceny nie znalazło się dotychczas ani popiersie Jaracza, ani Stępowskiego, ani Węgrzyna, ani Osterwy, ba... zabrakło miejsca nawet dla takiej olbrzymiej indywidualności artystycznej, jak — Solski.

Niema popiersia Dulęby czy Wysockiej, niema Siemaszkowej, niema nieboszczki Modrzejewskiej, ale... jest zato kochany mistrz Oleś Zelwerowicz.

Czy to nie przesada, panowie?

JAK BYŁO NAPRAWDĘ?!

Zwykły śmiertelnik, czytając, naogół dość lakoniczne sprawozdania z „uroczystości“ odsłonięcia popiersia p. Zelwerowicza, niewątpliwie nie ustrzegł się przeświadczenia, że uroczystość ta została zorganizowana, a przedewszystkiem zainicjowana **conajmniej przez czynniki oficjalne T. K. K. T.,** jeśli nie przez samego ministra Oświaty, jeśli już nie przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. A jak było w rzeczywistości?

W rzeczywistości, wspomniana wyżej grupa „zelwerczyków“, rekrutująca się z bałwochwalczych entuzjastów - wychowanków PIST‘u własnym sumptem „obstalowała“ u p. Kuny głowę Zelwera, wybłagała u niezbyt orjentującego się w sprawach teatralnych p. Prezydenta Starzyńskiego prawo ulokowania tej głowy w hallu Teatru Narodowego **i tak oto rozpoczęła się... „uroczystość“.**

DZIWNA „UROCZYSTOŚĆ“

Gwoli ścisłości trzeba stwierdzić, że we wspomnianej „uroczystości“ nie wziął udziału nietylko nikt z oficjalnych przedstawicieli Rządu, nietylko nikt z wierzchów T. K. K. T., ale nawet odmówił swego udziału **prezes filji T. K. K. T.,** duchowo tak bardzo bliski p. Zelwerowiczowi, p. Dobiesław Damięcki.

Nie było również podczas „uroczystości“ odsłonięcia elity aktorstwa polskiego, natomiast obszerną przestrzeń dość nieprzykonywująco wypełniała grupa „zelwerczyków“, którzy zachowaniem swym **przypominali do złudzenia młodzież oenerowską** w momencie uchwalania rezolucji zmierzającej do... rozbijania sklepów żydowskich.

OPAMIĘTAJ SIĘ MŁODZIEŻY!

Mimo to — popiersie odsłonięto, wygłoszono parę burzliwych mów, zrobiono kapitalną, wiecową demonstrację i... możnaby cały incydent schować do lamusa, gdyby nie — sugestywne okrzyki „zelwerczyków“ domagających się bezwzględnego przywództwa mistrza Zelwerowicza nad PIST‘em.

Ten fragment demonstracji „zelwerczyków“ zasługuje na specjalną uwagę. Jest on bowiem widomym dowodem niewątpliwego talentu mistrza na odcinku... **propagandy swych wychowawczych walorów.**

Miejmy nadzieję, że czynniki kompetentne i decydujące oceniły już należycie te „walory“ p. Zelwerowicza i **odsuną utalentowanego artystę od żmudnej pracy** wychowawcy młodzieży teatralnej, co będzie niewątpliwie korzystne zarówno dal tejże młodzieży, jak i p. Zelwerowicza, najprawdopodobniej bardzo znużonego dotychczasową pracą pedagogiczną.

Krzysztof Miłosz.

Sąsiedzi „wolą” margarynę

Ciekawa statystyka

Po kilku latach ogłoszone zostały ostatnio ponownie dane statystyczne, dotyczące produkcji margaryny i jej cen wytycznych, za rok 1935. Dane te są nad wyraz znamienne, świadczą bowiem z jednej strony o bardzo dotkliwym braku naturalnych tłuszczów jadalnych, który odczuć się dawał jaknajszerszym masom ludności Niemiec zwłaszcza w miesiącach zimowych roku ubiegłego i w pierwszych miesiącach r. b.

W roku poprzedzającym powstanie t. zw. Trzeciej Rzeszy, t. j. w r. 1932, osiągnęła w Niemczech produkcja margaryny i całkowicie sztucznego tłuszczu jadalnego t. zw. Palminu, rekordową i do tego czasu **nienotowaną w Niemczech wysokość 530.000 tonn.**

Tak znaczna produkcja leżała już wówczas w interesie Niemiec, które dążyły i wówczas, jak zresztą i obecnie, do możliwie zupełnego uniezależnienia swego zapotrzebowania od zagranicy, o ile chodzi o produkty jadalne.

Mimo tak zaszczytne cele i dążenia, musiała produkcja margaryny zostać znacznie ograniczoną, a to z uwagi na coraz niklejsze zapasy tłuszczów, koniecznych do wyrobu tej namiastki, tak, że z końcem września 1934 — koniec roku gospodarczego — wyniosła już tylko 394.000 tonn, by w roku gospodarczym 1934/35 zmniejszyć się do ilości 388.000 tonn.

To ostatnia cyfra odpowiada zaledwo 73% produkcji, osiągniętej w r. 1932.

Skutki tych ograniczeń okazały się jednak wprost fatalne, te najliczniejsze bowiem sfery ludności, które margarynę kupować muszą, by mieć wogóle jakiś tłuszcz, spotkała pewnego dnia w początkach października roku ubiegłego niezbyt miła niespodzianka. Nie było bowiem ani margaryny ani nawet i palminu.

Sytuacja stawała się z każdym dniem groźniejszą, sarkania uszczęśliwionych „socjalistów istinno - narodowych“ były coraz głośniejsze, tak, że w końcu rząd III Rzeszy zmuszony był, chociaż nolens, ustalić dodatkowy kontyngent tłuszczów na czwarty kwartał 1935 r. **w wysokości o 33% wyższej,** niż w planie gospodarczym było przewidziane.

Przemysł przetwórczy mógł zatem w ostatnich dwu i pół miesiącach 1935 r. przerabiać w miejsce dotychczasowych 36.000 tonn miesięcznie — 48.000 tonn.

Rzecz jasna, że dodatkowy ten kontyngent został w krótkim czasie wyczerpany, w każdym jednak razie stanowiło to dorywcze zarządzenie rządu Rzeszy znaczną ulgę dla najszerszych właśnie sfer konsumentów, którzy chyba nie mogli, ani nie mogą sobie pozwolić **na jadanie... masła,** które w handlu detalicznym kosztuje przecie 3,20 RM za kg.

A margaryna?

T. zw. pierwszej sorty kosztuje „tylko“ 2 RM kg, tańsze gatunki nawet tylko 1,2 RM, zaopatrzeni zaś w odpowiednie zaświadczenia ubóstwa, bezrobotni i t. p. dostać mogą margarynę, tę tańszą nota bene, **po cenie 36 fenigów za funt,** ale tylko na ...kartki.

Istotny jednak w całem tem zagadnieniu jest fakt, że gatunkowo zupełnie takasama margaryna, która obecnie kosztuje 1,20 RM za kg, kosztowała w r. 1932 tylko 44 fenigi za kg, a w Zagłębiu Ruhry nawet tylko 36 fenigów jeden kg.

Cyfry te są zbyt wymowne, by wymagały jeszcze bliższej analizy.

Świadczą jednak niezbicie i o tem, że tak głośno wychwalana przez obecny regime Rzeszy „stabilizacja“ płac i zarobków, jest w istocie tylko zamaskowaniem prawdziwego stanu rzeczy.

Siła nabywcza bowiem spadła w porów- z rokiem 1932 znacznie... a dowodem tego jest właśnie chociażby tylko... margaryna.

(an).

(Dokończenie ze str. 2-ej).

zwiska tych lekkomyślnych panów są chyba znane w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i dzisiaj, kiedy w tym resorcie znów rządzi **silna dłoń premjera gen. Składkowskiego,** społeczeństwo ma prawo domagać się aby ludzie ci nietylko zostali ujawnieni, ale, i to przedewszystkiem, pociągnięci do odpowiedzialności za, powiedzmy delikatne, patrzenie przez palce, na ponurą działalność tego urzędnika, który w żadnym razie nie przyniósł zaszczytu naszej, sprawnej naogół i moralnie wysokowartościowej administracji państwowej.

MOŻE ZMIENIŁ SIĘ...

Dzisiaj, mimo wszystko p. Murmyło, coprawda na znacznie niższem stanowisku, ale pozostaje nadal w naszej administracji państwowej. Być może, że na te arcy - hojną tolerancję zasłużył sobie działalnością niepodległościową, za którą został w swoim czasie nagrodzony **Krzyżem Niepodległości z Mieczami,** być może, że zmienił się dzisiaj gruntownie, odcierpiał swe przewiny i jest urzędnikiem najbardziej wzorowym, nie wolno mu więc odbierać prawa do życia, ale... również nie wolno, w naszem pojęciu, **pokrywać milczeniem nazwisk tych wszystkich przełożonych, którzy przez tyle lat p. Murmyłę na stanowisku starosty powiatu włocławskiego tolerowali.** Bo to już zakrawa na jeszcze większy skandal! **Oko.**

Ludzie podziemi

Ciekawa kampanja rozegrała się ostatnio na łamach prasy stołecznej. — Płk. Miedziński roztoczył w „Gazecie Polskiej" ponurą wizję agresywnej kampanji komunistycznej i groźnych jej następstw — p. Borski na łamach „Robotnika" oświadczył, iż to są „strachy na lachy. A cel tych strachów jest bardzo przejrzysty".

„Chodzi przedewszystkiem o odwrócenie uwagi społeczeństwa od niebezpieczeństwa hitleryzmu dla Polski, dla niepodległości Polski. Niebezpieczeństwo to jest realne, bliskie. Ale tego prawdziwego niebezpieczeństwa p. Miedziński „nie dostrzega", aby zaś i inni nie dostrzegli, maluje im całkiem urojone w obecnych warunkach niebezpieczeństwo ze strony Rosji Sowieckiej".

Słusznie — Z. S. R. R. zagrożony na swych wschodnich rubieżach przez prącą naprzód inwazję japońską, a na zachodnich przez narastające niebezpieczeństwo nowego „Drang nach Osten" — nie ma żadnego celu w wikłaniu się w starcie zbrojne z Polską — przeciwnie: jest mu bardzo na rękę posiadanie takiego „kapitalistycznego buforu" między sobą a państwem brunatnej swastyki.

Niemcy natomiast, zablokowane od Zachodu potężną barjerą fortyfikacyj Maginot'a, mają przed sobą jedną tylko drogę ekspansji: na Wschód.

Najprostsza droga na Wschód wiedzie zaś przez Polskę.

I to są fakty, z którymi należy się pogodzić. Więcej: należy się z nimi liczyć i w ich oświetleniu rozpatrywać wszelkie fazy współżycia polsko - niemieckiego, chcąc dokładnie zrozumieć politykę naszego zachodniego sąsiada.

Rąbek tej polityki odsłonimy dziś przed oczyma naszych Czytelników — pokażemy im, jak się **zakłada miny w mroku — miny, mogące rozsadzić naszą Niepodległość.**

✶

W drugiej połowie ubiegłego roku — uderzyła na alarm niezależna prasa polska, wołając o ratunek dla miażdżonej bezlitośnie mniejszości polskiej w Niemczech.

Serja artykułów p. Brucza, (pomorskiego korespondenta „Czasu"), szereg krzyczących wprost faktów, opisywanych przez dzienniki wielkopolskie, pomorskie, i śląskie — **odsłoniły w całej grozie, straszliwe piekło, w jakiem umierają dla Polskości, nasi rodacy zza kordonu.**

Przy metodach germanizacyjnych III-ciej Rzeszy bledną wyczyny osławionej hakaty!

Opinja publiczna zareagowała na to tak ostro, że „Gazeta Polska", rozpisująca się dotąd o prześladowaniu Polaków we... Francji i Czechosłowacji, zrozumiała, że wprost nieprzyzwoicie byłoby pozostawać nadal jedynem pismem w Polsce, którego nie obchodzi los półtoramiljonowej rzeszy polskiej za kordonem i oświadczyła „ex catedra", że „hitleryzm dąży do zupełnej germanizacji mniejszości polskiej".

„... Zamierza ją zniszczyć. przy pomocy i m p o n u j ą c e g o m ł y n a organizacyj narodowo - socjalistycznych.

Jest przekonany, że dokona tego szybciej i skuteczniej niż ustroje poprzednie".

Od roku ubiegłego—„imponujący młyn" zdążył wykonać już wiele miażdżących obrotów...

Po reportażach Brucza, nastąpiły kapitalne reportaże Wańkowicza z Warmji i Prus Wschodnich — po kilku wypadkach sterylizacji na Mazurach nastąpiła fala bestjalskich okaleczeń na Śląsku Opolskim i... masowa ucieczka do Polski ogarniętych paniką rzesz... Nastąpiło zamknięcie polskich szkół powszechnych i zakneblowanie ust prasie polskiej.

Nie zajmowalibyśmy się tymi faktami, znanemi powszechnie z prasy, gdyby nie **konieczność podmalowania tła — wykazania jak stalową konsekwencją działa „imponujący młyn" po... obu stronach granicy!**

W RYTMIE „HORST WESSEL"

Tak jest: **po obu!** — I u nas bowiem od zeszłego roku wiele się zmieniło:

Z niesłychanym rozmachem rozbudowały się i rozwinęły niemieckie banki, szkolnictwo i spółdzielnie...

Z niesłychanym rozmachem wykupiono ile się dało polskiej ziemi, domów i przedsiębiorstw...

Z niesłychanym rozmachem zorganizowano dziesiątki zjazdów, na których, wśród grzmiących okrzyków: „Heil Hitler" i **„Zurück zum Reich!"** chyliły się lasy sztandarów... ze swastyką...

Z niesłychanym rozmachem prowadzono t. zw. „Kleinarbeit" — czyli poprostu lotną propagandę wywrotową...

Z niesłychanym rozmachem **zbudowano kadry niemieckiej irredenty** i z niesłychanym rozmachem mundurowano bojówki na butne defilady, w których słynnym pruskim Parademarschem biła o mury **polskich miast** osławiona „Horst Wessel Lied". —

„Die Strassen frei den braunen Battailonen!
Die Strassen frei den Sturmabteilungs — mann!"

Proces hitlerowców śląskich 3 czerwca (w Katowicach), o usiłowanie oderwania Śląska od Polski jest finałem i prostą konsekwencją tych parad w rytmie „Horst Wessel".

PRAWO KRWI I PRAWO ZIEMI

Aby lepiej uzmysłowić sobie genezę wypadków i fakty, które omówimy poniżej, należy wziąć pod uwagę, że w prawie międzynarodowem istnieją dwie zasady określania obywatelstwa, (przynależności państwowej)— **„ius sanguini", — prawo krwi i „ius soli"— prawo ziemi.**

Na podstawie pierwszego dziecko np. Polaków w Ameryce, byłoby obywatelem polskim — rozstrzyga tu pochodzenie narodowe.

Na zasadzie drugiego — dziecko emigranta polskiego we Francji, jest obywatelem francuskim — decydującym jest miejsce urodzenia.

Prawie wszystkie państwa europejskie i zamorskie przyjęły zasadniczo, jako podstawę przy określaniu obywatelstwa — „ius soli" — prawo ziemi.

Wyjątek stanowią Niemcy, które na długo przed wojną światową przyjęły jako zasadę podwójne obywatelstwo swej emigracji, to znaczy, że każdy Niemiec poza granicami Rzeszy podlega obu prawom: krwi i ziemi, że będąc obywatelem np. Brazylji nie przestaje być jednocześnie obywatelem niemieckim, który winien posłuszeństwo przedewszystkiem swym władzom ojczystym, a więc konsulowi, posłowi czy wyznaczonemu przez nich delegatowi, reprezentującemu w danym kraju i dystrykcie interesy niemieckie.

Tem tłumaczy się świetna organizacja wywiadu i propagandy niemieckiej w krajach neutralnych podczas wojny, tem również da się wyjaśnić niesłychana spoistość, zwartość i dyscyplina emigracji niemieckich.

Wpływa na to w znacznej mierze ich zależność od centrali berlińskiej, o czem za chwilę będziemy mówili.

Nawiasem wartoby tu jeszcze dodać, że po wskrzeszeniu Polski — wszyscy b. oficerowie niemieccy, Polacy, którzy wstąpili w szeregi naszej armji, figurowali na odnośnych listach w kartotekach personalnego biura wywiadu niemieckiego pod rubryką: **„Zeitlich in der polnischen Armee"** (czasowo w armji polskiej).

Tych kilka wyjaśnień uważaliśmy za konieczne podać dla lepszego zrozumienia podstawy i tła wypadków, z którymi pragniemy zapoznać Czytelników.

W KAŻDYM DO

Brunatne macki Ge

BRUNATNI PORYWACZE LUDZI

Europa dawno już zapomniała o okropnościach czerezwyczajek, porwaniu Kutiepowa i innych wyczynach czerwonych jaczejek Kominternu.

Przeciętni bourgeois i politycy kawiarniani z oburzeniem i politowaniem natrząsali się przy przedobiednim aperitiwie i poobiedniej półczarnej z niedołęstwa policji amerykańskiej, nie mogącej poradzić sobie z bandami gangsterów i kidnapperów i z pełnem sytości zadowoleniem przciwstawiali tym „barbarzyńskim" stosunkom — dobrze zorganizowane bezpieczeństwo w państwach „starego świata" — gdy z dodatków nadzwyczajnych runął grom: porwanie Jacoba!...

Bezpośrednio potem Czechosłowacja sygnalizowała porwanie Lampersbergera...

W lutym r. ub. uprowadzono z Holandji Gutzeita...

Oniemiałym rzeszom obywateli, gazety rzuciły jedno słowo: „Gestapo"!

Cóż to za tajemnicza organizacja?

Gestapo — Geheime Staatspolizei — tajna policja państwowa, twór i ślepe narzędzie Göringa, to tajna służba, której zadaniem jest pomaganie w pracy wywiadowi, i unieszkodliwianie niebezpiecznych dla Rzeszy jednostek spośród organizacji, oraz wszystkie funkcje wewnątrz kraju, które spełnia normalnie policja polityczna.

Organizacja tej służby oparta jest na ustroju zagranicznych jaczejek Kominternu plus niemiecka metodyczność i... nieograniczone środki materjalne, jakiemi operuje tylko Intelligence Service i Secret Office.

Oprócz właściwych agentów, Gestapo zatrudnia całą rzeszę „korespondentów" czyli informatorów wynagradzanych od wiadomości lub miesięcznie.

Terenem jej działalności jest przedewszystkiem Europa, a zwłaszcza państwa bezpośrednio z Niemcami sąsiadujące.

Tu warto dodać, że kadry Gestapo rekrutują się z członków Schutzstafeln (S. S.), t. zw. „Czarnej Gwardji S. A.", w której skład weszli swego czasu wszyscy wykonawcy mordów kapturowych.

MORDUJĄ!

Gestapo nie ogranicza się jedynie do porywania ludzi z terytorjum państw obcych.— na rachunek jej zapisał Londyn zagadkową śmierć dwóch znanych antyhitlerowskich działaczek, a ostatnio, Praga doniosła o nieudanym zamachu na posłów: socjalistycznego — Hegera i komunistycznego d-ra Hartenbergera w Karniowie. Do zamachu tego brunatni agenci odwróconej swastyki użyli czeskich bezrobotnych.

Zamach spalił na panewce, dzięki temu, iż jeden ze spiskowców, zdradził szczegóły planu po pijanemu w karczmie.

F A L A N G A

Nim przejdziemy do omówienia roli Gestapo w Polsce, musimy zwrócić uwagę na strukturę mniejszości niemieckiej.

W rodziale „Prawo krwi i prawo ziemi" zaznaczyliśmy, że na niesłychaną spoistość, zwartość i dysyplinę emigracji niemieckich wpływa ich zależność od berlińskiej centrali.

Otóż ostatnio Berlin wydał cały szereg zarządzeń zmierzających do tem silniejszego skonsolidowania mniejszości niemieckiej w Polsce. Poszły w ruch nakazy organizacyjne, banki otrzymały specjalne fundusze, rozwinięto akcję na wielką skalę.

Wyniki jej podaje nam jedno z pism stołecznych:

„... w ostatnim czasie uwagę polskiej opinji publicznej zajęły wypadki, rozgrywające się w jednym z najbardziej przez niemczyznę zagrożonych terenów Pomorza — w powiecie świeckim.

Element niemiecki na terenie tego powiatu jest doskonale zorganizowany w licznych organizacjach najróżniejszego typu, wykazujących dużą żywotność i niespotykaną dotąd ruchliwość.

Szczególnie dobrze rozwija się tam „Deutsche Vereinigung", licząca ogółem 1500 zorganizowanych członków. Jak donosi prasa pomorska, najsilniejsze oddziały „DV" znajdują się w Pruszczu i Bukowcu. Grupy „DV" w obu tych miejscowościach liczą 300, wzgl. 500 członków.

„Ciocia" Frajndla nie płaci...

Przydałaby się gruntowna rewizja tej sprawy

Żyjemy niewątpliwie w kraju stuprocentowo praworządnym, w kraju, gdzie wykluczone są przypadkowości i dowolności postępowania. Stosunek obywatela do Państwa ujęty w ramy logicznych i pod życiowy strychulec podciągniętych przepisów, aczkolwiek niezawsze przyjemny, stwarza gwarancję, że Państwo taką metodą postępowania **rządzi się wobec wszystkich**, zgóry wykluczając jakiekolwiek wyjątki.

A JAK JEST NAPRAWDĘ?

Tak jest w teorji, bowiem praktyka nie szczędzi nam odchyleń, które najbardziej spokojnych i najbardziej lojalnych obywateli mogą wyprowadzić z równowagi... Dość jednak ogólników i frazeologji. W Warszawie napewno, a w całej Polsce prawdopodobnie na palcach możnaby policzyć ludzi — mieszczuchów, którym nic nie mówi nazwisko: Franciszek Moszkowicz.

Może ten i ów uśmiechać się z „wyższem" politowaniem, a przecież faktem jest, że na swoim odcinku, w swojej „branży" Moszkowicz **jest postacią centralną**, niewątpliwie godną i specjalnej uwagi i wyjątkowego uznania.

Na bok jednakże odłóżmy frazeologię. Zanim popularny „Franc" pojawił się na gruncie warszawskim, **pospołu z Adolfem Tenenbaumem**, a ściślej z żoną jego Frajndlą prowadził we Lwowie lokal rozrywkowy „Bagatela".

Najprawdopodobniej nie zajmowalibyśmy się tym „knajpiarskim problemem", gdyby nie fakt, że stanowi on klasyczny przykład **arcy - nieprawdopodobnych w praworządnem państwie stosunków.**

SPÓLNICY

Gwoli ścisłości trzeba zaznaczyć, że stosunek umowny między Moszkowiczem a Tenenbaumem opierał się nie na jakichś umowach pisanych, a poprostu wynikał z wspólnej własności domu, w którym mieścił się wspomniany lokal. Przyczem dla informacji zainteresowanych należy stwierdzić, że 50,5% należało do Moszkowicza, pozostałe zaś do Adolfa Tenenbauma i żony jego Frajndli - Fryderyki. Ten sam stosunek **obowiązywał wspólników** na terenie dancingu „Bagatela".

PIERWSZE SALTO

Dla dokładnego zobrazowania oblicza moralnego Tenenbaumów godzi się stwierdzić, że A. Tenenbaum zresztą człowiek zupełnie zniedołężniały, od lat przykuty do łóżka, mając zaległości podatkowe, świadomie przeniósł całe swe prawo własności do lokalu „Bagatela" **na dwie córki: Helenę i Marję Tenenbaumówny.**

Od tego momentu zaczyna się prawdziwa martyrologja popularnego Franciszka Moszkowicza, aczkolwiek bowiem właściwymi właścicielkami połowy „Bagateli" są panny Tenenbaum, to jednak na zewnątrz występuje **w roli firmanta ojciec ich**, który przezornie wyzbył się za radą swej małżonki wszelkiej własności. Widząc zagmatwaną sytuację, i mając dość waśni z nieuczciwymi wspólnikami, Moszkowicz przenosi się do Warszawy, gdzie zostaje współwłaścicielem „Adrji", a swoją połowę „Bagateli" wydzierżawia płatniczemu tego przedsiębiorstwa — Bronisławowi Flaumowi.

„UDANY" DZIERŻAWCA

Jak ten ostatni gospodaruje na Moszkowiczowej połowie „Bagateli" świadczy o tem najwymowniej fakt, że w przeciągu paru lat **wyciąga ze wspomnianego przedsiębiorstwa około 50,000 dolarów.** Mimo to i mimo aktu umownego, po pewnym czasie prawdopodobnie pod wpływem właściwej kierowniczki „Bagateli" osławionej „cioci" Tenenbaumowej, Flaum przestaje płacić nietylko umówiony czynsz dzierżawny, ale również podatki i świadczenia socjalne, które płacić zobowiązał się. Mało tego, dobrany duet „Ciocia" Frajndla i Bronisław Flaum **potrącają pracownikom wszystkie świadczenia**, nie wpłacając grosza do kas odnośnych instytucyj.

(Dokończenie na str. 6-ej).

MU — WRÓG!

stapo nad Polską

W ostatnim czasie jesteśmy na terenie powiatu świeckiego świadkami niesłychanych metod w ustosunkowaniu się elementu niemieckiego do polskości Oto niemczyzna tamtejsza przeprowadza znany opinji polskiej już z terenu Wielkopolski systematyczny bojkot wszystkiego, co polskie, przy jednoczesnem zachowaniu niemieckiego dobrobytu i prowokującem propagowaniu hasła: Swój do swego.

Robota ta przejawia się w nawoływaniu do kupowania tylko u kupców niemców, wykonywania pracy w warsztatach rzemieślników niemieckich i zatrudnianiu wyłącznie niemców.

Tam, gdzie niemieckiego kupca i rzemieślnika brak, sprowadza się ich skądinąd i daje możliwość założenia własnej placówki względnie warsztatu.

Powodzenie tego rodzaju roboty gwarantują niemieckie spółdzielnie handlowe, finansowo, dobrze postawione. Spółdzielnie te roztaczają wszechstronną opiekę nad każdym niemcem, który przystępuje do tworzenia nowej, niemieckiej placówki gospodarczej".

Przytoczyliśmy powyższy ustęp w celu wykazania, jak zwartą falangę w Polsce stanowi mniejszość niemiecka, falangę o tyle groźną, że stanowi ona potencjał siły obcej, wrogiej nawet wobec państwa i rozwijającej działalność wybitnie odśrodkową.

Myliłby się również ten, ktoby sądził, że „imponujący młyn" działa tylko na kresach — nie! **najintensywniejszą bodaj działalność rozwija w sercu Polski, o krok od Warszawy, w słynnym z pasiastych strojów i barwnych jarmarków — Łowiczu!**

W PODZIEMIACH

Mniejszość niemiecka w Polsce jest zorganizowana w szeregach związków, z których najpotężniejsze są „Deutsche Vereinigung" i „Jugendverein" . Organizacje te są jawne i legalne i mogą należeć do nich jedynie **obywatele polscy niemieckiego pochodzenia.**

Jeżeli wspominamy o nich to jedynie dlatego, że od dłuższego czasu toczy się **podziemna zacięta walka o ich opanowanie.**

Oprócz bowiem ogólnej kontroli, jaką nad tymi organizacjami sprawuje partja hitlerowska — związki tajne, zwłaszcza młodzieżowe prą, do poddania D. V. i J. dyscyplinie i sądownictwa — bojówek.

Na tem tle dochodzi do ustawicznych starć, napadów, rozbijania szyb — do zaiść, po których nikt nie odwołuje się do władz państwowych, nie składa skarg do sądu, nie melduje policji...

Ostatnio bojówki zażądały, by całokształt życia zorganizowanej mniejszości niemieckiej, został poddany ich kontroli. — By wszelkie spory cywilne i sprawy karne, przedkładane były orzecznictwu tajnych trybunałów, z zupełnem pominięciem organów Państwa polskiego.

Wobec niesłychanego terroru, jaki rozwijają bojówki, należy się liczyć z tem, że organizacje ugną się i spełnią te żądania, a wówczas całe życie mneijszości niemieckiej w Polsce zejdzie w podziemia, usuwając się tem samem najzupełniej z pod kontroli państwa, co byłoby fatalne dla zagadnienia, przedewszystkiem, obrony kraju i rozwoju naszych Kresów Zachodnich.

Pracują nad tem pilnie brunatne macki „Getsapo" rozsiane po polskiej ziemi

GESTAPO PRZY PRACY

Na czele niemieckiej organizacji hitlerowskiej w Polsce, jednoczącej obywateli niemieckich stoi sekretarz ambasady niemieckiej Karol Buergham.

Cały kraj podzielony jest na 7 — 9 obwodów (Gau), z których 5 — 6 obejmuje teren Pomorza, Śląska i Poznańskiego, a reszta — terytorja skupień kolonistów niemieckich na Kresach Wschodnich, w trójkącie Sanu i Wisły, oraz w okręgu podwarszawskim z punktem centralnym w Łowiczu.

Na czele każdego obwodu stoi przywódca okręgowy (Gauleiter) mający swą siedzibę w któremś z pogranicznych miasteczek niemieckich.

Kontakt między Gauleiterem, a okręgiem utrzymują władze lokalne okręgu za pośrednictwem korespondencji i łączników docierających do pasa granicznego, skąd „poczta" zostaje przeszmuglowana do Niemiec oraz za pośrednictwem agentów „Gestapo", którzy bez przerwy objeżdżają okręgi rozwożąc polecenia, dając instrukcje i kontrolując „pracę".

Podstawą organizacji są „dziesiątki", przyczem już dziesiętnicy otrzymują stałe wynagrodzenie wypłacane za pośrednictwem wyżej wspomnianych agentów ze stojących do ich dyspozycji kas banków, spółdzielni i organizacji „społecznych", „sportowych" i „naukowych", zasilanych na ten cel funduszemi z centrali berlińskiej wpłacanymi do banków niemieckich w Polsce.

Jako składy bibuły, korespondencji i archiwa służą niemieckie szkoły i... plebanje, jako najmniej... podejrzane.

Poszczególne okręgi prowadzą specjalne kartoteki: działaczy lewicowych, narodowych, bezrobotnych, żydów, przestępców i... prostytutek. Celem tych kartotek jest zorjentowanie się w układzie sił społecznych w danym okręgu i w nasileniu elementów, które, z racji braku podstaw moralnych możnaby wykorzystać w odpowiedniej chwili do odpowiedniego celu.

Kopje tych kartotek łącznicy Gestapo skrzętnie przewożą do „komend obwodowych" poza granicami Polski.

Pod kontrolą Gestapo znajduje się około 30-tu czasopism niemieckich wychodzących na terenie Polski i (w co nie chce nam się wierzyć) kilka polskich. Gotowi jesteśmy raczej sądzić, że są to pisma wydawane w języku polskim w celach agitacyjnych.

Agenci Gestapo skwapliwie zbierają również wszelkie dane gospodarcze, będące siłą rzeczy w posiadaniu banków i spółdzielni niemieckich, a stanowiące doskonały materjał dla wywiadu ekonomicznego.

ŻEROWANIE NA NĘDZY I BEZROBOCIU

Przykład z bezrotnymi zamachowcami w Karniowie nie jest faktem odosobnionym.

W początkach zeszłego roku prasa doniosła, o tłumnem gromadzeniu się przed konsulatami niemieckiemi na kresach zachodnich, bezrobotnych, wśród których rozpuszczono pogłoskę, że ci, którzy walczyli w armji niemieckiej w czasie Wielkiej Wojny, (przyczem miano wierzyć zgłaszającym się... na słowo) — otrzymają pamiątkowe medale i przywiązaną do nich rentę.

Wśród tłumów uwijali się agitatorzy hitlerowscy...

Drugim faktem były osławione „kaszubskie deklaracje", na których Kaszuba (za pożyczkę, zboże do siewu, sieci, łódź i t. p. świadczenia), składał przysięgę wierności Hitlerowi w imieniu swojem i swych dzieci.

Konstatujemy z całą stanowczością, że wśród bezrobotnych we wszystkich okręgach pogranicznych jest prowadzona agitacja hitlerowska!

Dowodem jej skuteczności są nazwiska polskie szeregu oskarżonych w procesie śląskim.

TAJEMNICA ŁOWICKICH JARMARKÓW

Łowicz słynie z jarmarków. Słynie, a raczej — słynął. Obecnie odbywają się tam głównie jarmarki na konie, które masowo nabywają kupcy... z Niemiec dla pruskiej kawalerji.

Kupcy ci to ludzie bardzo wykształceni, świetnie znający swój fach, bardzo obydi, światowi, wybornie znający języki...

Na jarmark przybywają kilka dni naprzód, zostają klka dni po jego zakończeniu — nic więc dziwnego, że przybycie tak miłych gości ożywia całą kolonję niemiecką, a zwłaszcza młodzież, która na ich cześć urządza wieczorki i wycieczki w pobliskie lasy.

Dziwnym trafem, na wieczorkach porusza się **wyłącznie tematy polityczne i dyskutuje jedynie o technice i organizacji walki, podczas... powstania, a na wycieczkach, — przerabia się... ćwiczenia bojowe w terenie, przyczem kierownictwo tych manewrów i prowadzenie dyskusji na wieczorkach spoczywa wyłącznie w ręku gości, którzy zdradzają nie gorszą orjentację w tych przedmiotach niż... oficerowie sztabu generalnego.**

ĆWICZENIA „GEOGRAFICZNE"

Na wycieczkach tych, dla zaprawienia młodzieży w... rysunkach, **rysuje się pilnie mapy terenu—ściśle według zasad i przepisów obowiązujących przy szkicowaniu map sztabowych.**

Młodzież odbywa również wycieczki w dalsze okolice, wędruje nieraz, podczas wakacyj po całym kraju i... pilnie **szkicuje, rysuje mapy, mosty, dworce i inne ciekawe objekty.**

Najudatniejsze rysunki, goście zabierają ze sobą czasem polecają je wykończyć i wówczas odwozi im je jakiś ich przejezdny znajomy — dziwnym trafem przeważnie spełniający również funkcje... łącznika Gestapo.

O CZEM NIE WIEDZIAŁA PRASA I POLICJA

Jedną z takich wycieczek kilka tygodni temu spotkał dość niemiły wypadek: wyruszyła z **Bolimowa, (pod Łowiczem),** w liczbie 20-tu ludzi i zawędrowała aż **pod Żychlin,** gdzie w lasach miała zamiar przeprowadzić szereg ćwiczeń „w terenie".

Pech chciał, że w tym samym czasie do lasu udała się wycieczka socjalistycznego Zw. Metalowców z żychlińskiej fabryki.

Widok hitlerowsów ze swastykami podziałał na socjalistów, jak... ich czerwone kokardy na hitlerowców.

Od słowa do słowa poszły w ruch pięści i laski, a potem noże i kastety...

W pewnej chwili w rękach hitlerowców pojawiły się rewolwery i... karabinki o obciętej lufie... kule zaczęły stukotać o drzewa... Z jękiem zwalił się na ziemię postrzelony robotnik... Reszta Polaków nie posiadająca broni palnej, unosząc z sobą rannego, wycofała się do Żychlina gdzie zaalarmowała załogę fabryczną.

Robotnicy runęli w las... **Po krótkiej walce udało się pochwycić dwóch hitlerowców, których zamknięto na noc w baraku, stawiając przy nim wartę i dalszy ciąg sprawy odkładając do rana.**

Po północy zjawiło się na 4-ch autach ciężarowych około 120 bojowców hitlerowskich, umundurowanych i uzbrojonych jednolicie w rewolwery, pałki gumowe i granaty ręczne.

Wartowników zmasakrowano. Barak rozbito. Uwięzionych uwolniono.

Cały napad trwał niespełna 10 minut.

W KAŻDYM DOMU — WRÓG!

Oto garść suchych faktów i przyczynków do podziemnej działalności Gestapo, brunatnymi mackami opasującej kraj.

Oświetliliśmy je dokładnie — może za dokładnie, ale chcieliśmy, by społeczeństwo uświadomiło sobie jasno, że dzięki tej działalności,**w każdym niemieckim domu Śląska, Pomorza i Wielkopolski, w kolonjach łowickich i małopolskich — wyrasta z młodego pokolenia niemieckiego, nie lojalny obywatel Państwa Polskiego — lecz — wróg!**

A to nie jest do wytrzymania na dłuższą metą w żadnym praworządnym państwie!

W obliczu procesu śląskiego fakty przez nas podane nabierają specjalnego ciężaru gatunkowego i wymowy.

Argus.

Bagienko Filmowe

Kto się obraża?!

Moralne oblicze ludzi „polskiego" filmu

Branża filmowa bardzo nie lubi naszego pisma. Na macherów, kombinatorów i aferzystów spod znaku polskiego filmu, WIEM WSZYSTKO działa niby czerwona płachta na byka.

Rozumiemy doskonale, że WIEM WSZYSTKO nie może działać zbyt kojąco na „iwonki polskiego filmu", bo zgóry rezygnując z jakichkolwiek reklam, płatnych artykułów czy fotosów, postawiło sobie za zadanie

bezwzględne oczyszczenie

już nie zatęchłej, a wręcz cuchnącej atmosfery filmowej. I pierwsi i jedyni ukazujemy publiczności polskiej tych wszystkich pseudo - reżyserów, pseudo - producentów, pseudo - scenarzystów, pseudo - eksploatatorów czy pseudo - redaktorów filmowych.

Rozumiemy doskonale, że „branża" oponuje, krzyczy, rzuca się i szkaluje, że nazywa nas delikatnie: krzywem zwierciadłem, a mniej delikatnie (oczywiście poza naszymi plecami): szantażystami. Nad drugą oceną nawet nie będziemy się zatrzymywali, żyjemy wszakże w państwie praworządnem i

cały aparat państwowy stoi na straży obywatela

przed wszelkiemi próbami uszczknięcia jego dóbr fizycznych czy moralnych. Ale oto zarzut pierwszy: WIEM WSZYSTKO — krzywe zwierciadło, rozmyślnie karykaturalnie przedstawiające czytelnikowi film polski.

Czy panowie w jarmułkach kpią, czy o drogę pytają? Jeśli chcemy mówić o krzywem zwierciadle, to jest nim cała prasa, pozostająca na usługach branży. Ta prasa, która zmuszona presją ogłoszeniową, drukuje brednie o naszych beznadziejnych „gwiazdach" i „gwiazdorach", całe szpalty poświęca na

kretyńskie wywiady z analfabetami-reżyserami,

ta prasa, która wreszcie publikuje, t. zw. recenzje, w olbrzymiej większości będące niczem innem, jak płatnemi komunikatami poszczególnych „wytwórni", czy biur filmowych.

Podkreślamy więc jeszcze raz, że rzekomo niezależna prasa, pospołu z organami „fachowemi" branży, to właśnie

najzłośliwsze krzywe zwierciadło,

w którem zamiast gangsterów i łobuziaków widzimy — uczciwych producentów, zamiast Waszyńskich, Łowiczów, Gardanów czy Szaro, oglądamy — Rene Clair'ów, Sternbergów, Cruze'ów, Mamoulianów, a zamiast mierzwy aktorskiej — gwiazdy z prawdziwego zdarzenia.

WIEM WSZYSTKO postawiło sobie za zadanie walczyć konsekwentnie i bezkompromisowo z ponurą tragedją filmu polskiego, z powodzią kiczów zagranicznych, z

plantatorskiemi metodami pracy biur zagranicznych

i z kryminalnym światkiem dyrektorów tych biur czy różnych „szmajgelesów" wokół filmowego rynku Rzeczypospolitej uwijających się.

Jeśli to co piszemy jest nieprawdą — nic prostszego, jak zaskarżyć nas, ale jeśli prawdą jest, że np. jeden z dyrektorów wielkiego biura amerykańskiego w Warszawie, czczony przez prasę „fachową",

wspólnie z Trockim podpisywał w imieniu Sowietów traktat ryski?

Czy to wszystko jest prawdą? I jeśli tak, to cóż na to „obraźliwa" branża?

Qui - qui.

OD 7 LAT NIE PŁACI...



podatków Skarbowi Państwa osławiona „ciocia" Frajndla Tenenbaumowa, współwłaścicielka lwowskiej „Bagateli" (do art. obok).

Jeszcze raz o Kasprowym

Byłem w Zakopanem, piszę co widziałem

Już sam tytuł niniejszego artykułu może wywołać wśród Czytelników naszych, delikatnie powiedziawszy: popłoch. Jeszcze raz o kolejce na Kasprowy! Czyżby zamało było to tego, co dotychczas napisano we wszystkich możliwych czasopismach, we wszystkich broszurach,

ba... specjalnych petycjach?

Wszakże właśnie „WIEM WSZYSTKO" sprawie tej poświęciło kilkaset wierszy z wyjątkowym objektywizmem starając się naświetlić tak typową dla polskiej mentalności i polskiego szkodnictwa społecznego sprawę budowy kolejki linowej.

Zgodnie ze swą zasadą, nie ograniczyliśmy się jedynie do zajęcia takiego czy innego stanowiska w „kompleksie Kasprowego" ale — zajrzeliśmy za kulisy, chętnie publikując materjały dostarczone nam przez odpowiedzialnego spółpracownika,

a znajdujące pełne potwierdzenie

w kołach zbliżonych do naszej turystyki „oficjalnej", dokąd zwróciliśmy się, jak zwykle w podobnych wypadkach, celem stwierdzenia całkowitej autorytatywności dostarczonego nam materjału.

Zdawałoby się więc, że sprawa artykułu naszego opublikowanego w nr. 10 WIEM WSZYSTKO jest całkowicie wyczerpana, a dwumiesięczny termin, oddzielający nas od tegoż artykułu, pogrzebał go w pyle zapomnienia.

Zwykły przypadek, a ściślej mówiąc wizyta niżej podpisanego w Zakopanem, każe nam wrócić do „kompleksu Kasprowego", stwierdziliśmy bowiem, że mimowoli WIEM WSZYSTKO, które postawiło sobie za zadanie demaskowanie wszelkiego rodzaju nadużyć, kłamstw i podłości, w sprawie kolejki linowej, przyznajemy się otwarcie — potknęło się — wyrządzając

niezem nieusprawiedliwioną krzywdę

człowiekowi, którego dziełem jest właśnie ta kolejka.

Bezkompromisowo zdecydowani w demaskowaniu każdej podłości, a wymownemi dokumentami tego są zarówno liczne plamy konfiskat, jak jeszcze liczniejsze pogróżki, równie po męsku potrafimy przyznać się do swych uchybień.

✶

Przypadkowo przed paru dniami byłem w Zakopanem. Ponieważ kolejka, o której obszerny artykuł opublikowało WIEM WSZYSTKO w nr. z dn. 29 marca, znana mi była jedynie z ostrej kampanji na jej temat przeprowadzanej w prasie, z 9-godzinnego pobytu w Zakopanem,

6 godzin bezmała zużyłem na bezpośredni „kontakt"

z pierwszą polską kolejką linową.

Przytaczam dokładne cyfry, aby zgóry zabezpieczyć się przed zarzutami niefachowości moich spostrzeżeń. Istotnie tylko przez 6 godzin obserwowałem kolejkę i jej wszystkie urządzenia okiem laika, szarego człowieka i jako szary, ale specjalnie ciekawy człowiek usiłowałem zasięgnąć języka wśród ludzi miejscowych na temat tego nowotworu na organiźmie Zakopanego.

Trudno sobie wyobrazić rozsądnego, a jednocześnie najbardziej sceptycznie nastrojonego człowieka, któryby od pierwszej chwili nie był podbity urokiem kolejki linowej. I nie jest tu najważniejszy urok podróży z Kuźnic na Myślenickie Turnie, czy dalej na wspaniały szczyt Kasprowego. Nie jest tu najważniejsze piękno plenerów roztaczających się z okien wagonika,

nieomal bezszelestnie toczącego się do celu, tych plenerów, które rzekomo „bluźnierczą dłonią" zostały tak „zbeszczeszczone" przez kolejkarzy. To wszystko są sprawy mniej ważne. Najważniejszy, najbardziej imponujący, najwyższego uznania godny jest kapitalny rozmach z jakim kolejkę budowano.

W iście rozpaczliwych warunkach, dysponując surowym materjałem ludzkim, mając przeciwko sobie nietylko ogłuszające, głupkowate ataki ludzkie, ale tak kapryśną w Polsce aurę, ludzie twardzi, zdecydowani i konsekwentni centymetr po centymetrze

darli się skalistemi ścianami do celu,

którego uwieńczeniem stało się dzieło, na swym odcinku równie imponujące, jak powiedzmy budowa portu gdyńskiego. Jako laik, zgóry stwierdzam, że nie potrafię ustalić, czy budowa kolejki była koniecznością życiową czy nie. Czy przyczyniła się ona do rozwoju Zakopanego, czy też wypłoszyła z tego uroczego zakątka Polski falę turystów i taterników.

Ustaliłem natomiast, że o niczem innem w Zakopanem, nawet w tak martwym miesiącu, jak maj, nie mówi się, a jedynie i wyłącznie jest na ustach wszystkich... kolejka linowa. Można też bez przesady zaryzykować twierdzenie, że na 100 przyjezdnych,

98 pierwsze swe kroki kieruje ku... dworcowi kolejki w Kuźnicach.

Czy długo trwać będzie zainteresowanie kolejką, w sensie pozytywnym, czy nie zostanie ono przygaszone zbyt wysokiemi zdaniem niektórych cenami biletów za przejazd na Kasprowy, tych tematów rozstrząsać niemam zamiaru.

Ograniczam się do stwierdzenia faktu, że kolejka jest dziełem imponującem, ze wszech miar pożytecznem, że właśnie kolejka ukazała całej Polsce

blagę o istnieniu rzekomego Parku Narodowego

i, że właśnie kolejka w drzewostanie tatrzańskim poczyniła spustoszenie stosunkowo najminimalniejsze, w porównaniu stem, co zrobiono jeszcze przed kolejką, mimo czułej opieki najróżniejszych „ochroniarzy".

Imponujący rozmiar budowy łączącej Kuźnice z Kasprowym i wszystkie inne, powyżej przytoczone fakty, skłoniły mnie skolei, po powrocie do Warszawy, do gruntowniejszego zgłębienia „kompleksu Kasprowego", a przedewszystkiem do osobistego poznania

inż. Kodelskiego głównego „sprawcy"

budowy kolejki linowej.

✶

Inż. Kodelski, jak zresztą wszyscy ludzie, zatrudnieni przy budowie bądź dzisiaj już eksploatacji kolejki, jest człowiekiem młodym.

— A przecież, mimo to, — mówi do mnie z uśmiechem, — w świetle artykułu w pańskim piśmie nabroiłem cały ocean.

— Z punktu zmniejszam go o kolejkę, którą jestem zachwycony. Tej budowy można panu szczerze powinszować. Może pan być z niej dumny, i to dumny nietylko w Polsce. Myślę, że gdyby podobne zadanie, tak imponująco, a zarazem tak pięknie i stakim umiarem

wykonał pan w Niemczech, Italji, czy Sowietach,

pan i pańskie dzieło stałoby się ważkim atutem propagandowym. Nie przeszkadza to, że budowa kolejki mogła kosztować zbyt wiele, że nie liczono się z pieniędzmi, a to w dzisiejszych czasach i w naszej sytuacji gospodarczej przekracza ramy zwykłej lekkomyślności...

— Nie przeczę, że to co mógłbym taniej zrobić w przeciągu miesiąca, robiłem drożej w trzy dni, ale czy nie znajdzie takie postępowanie wyrównania w dalszych etapach, w szybszej eksploatacji? Jeśli uważa pan to za moją wadę, to istotnie — organicznie nie znoszę dłubaniny. Racjonalne tempo jest podstawą mojej pracy, a wszelkie przeciwności, jakie w czasie pracy się gromadzą, jeszcze bardziej prowokują mnie

do tem aktywniejszej pracy

i tem bezwzględniejszego ich zwalczania. Dla pańskiej orjentacji podaję, że jako naczelny dyrektor tow. budowy kolejki na Kasprowy, naczelny kierownik budowy i projektujący całość budowlano - konstrukcyjną, pobierałem i pobieram 1,000 zł. miesięcznie, bez jakichkolwiek procentowych honorarjów, w stosunku do wysokości kosztów budowy, czy też nadprogramowych opłat za wykonane przeze mnie projekty czy plany budowy. Sama budowa została powierzona do wykonania Stoczni Gdańskiej wspólnie z firmą Bleichert, która to firma

zbudowała najwięcej kolejek linowych

u Europie, bez żadnego pośrednictwa, a jedynie w wyniku zebranych ofert, od najróżniejszych firm trudniących się budową kolei linowych.

Tu inż. Kodelski przedkłada mi bogaty materjał dowodowy, sktórego, o ile mogę zorjentować się, wynika niezbicie, że istotnie oferta wspomnianych firm była dla kierownictwa budowy najkorzystniejsza.

— Jak pan inżynier sobie zapewne przypomina, w artykule opublikowanym w WIEM WSZYSTKO poruszyliśmy

szereg innych mankamentów

dotyczących pańskiej karjery.

— Niestety, pamiętam o tych zarzutach aż nazbyt dobrze. Sprawiły mi one wielką przykrość, a jeśli nie dementowałem odrazu, nie uciekałem się do praktykowanej w podobnych wypadkach formy oficjalnych sprostowań, to może głównie dlatego, że ci którzy mnie znają, wiedzieli aż nazbyt dobrze, jak bardzo bezpodstawne były te zarzuty, a ci którzy mnie nie znają, utrwaliłby fałszywe pojęcie o mej dotychczasowej działalności dopiero po przeczytaniu... sprostowania. Jeśli jednak pan osobiście zechciał się tem zainteresować,

służę wyjaśnieniami.

Więc przedewszystkiem owa

nieszczesna pływalnia na Łazienkowskiej.

Według pierwotnej koncepcji, pomyślana była jako basen żelbetonowy na słupach, przyczem koszta tej budowy obliczono na ok. 1 miljon złotych. Tyle pieniędzy nie mogliśmy otrzymać, sporządziłem więc projekt, który łącznie z wszystkiemi urządzeniami, budynkiem, plażą i trybunami, a także wieżą do skoków miał

nie przekraczać 360 tysięcy złotych.

I tyle też wszystko kosztowało. Ani grosza więcej. Projekt mój został zatwierdzony, przytem zgóry brano pod uwagę, że część wody w głębszem miejscu basenu nie będzie mogła sama spłynąć, a trzeba ją będzie wypompowywać przy pomocy elektrycznej pompy, którą miano zainstalować w specjalnie do tego celu pobudowanym w części południowej basenu — szybie. Tego rodzaju koncepcja, kalkulowała się znacznie korzystniej. Pompę mieli zainstalować moi następcy, bowiem w międzyczasie powierzono mi budowę gmachu b. ministerstwa Robót Publicznych przy ul. Chałubińskiegoza jej nie zainstalowali, to chyba doprawdy nie jest moja wina... Dalej, analizując wysuwane przeciwko mnie zarzuty, zarysowany dom na Żoliborzu. Istotnie. Przy ul. Cieszkowskiego budowano dla spółdzielni pracowników hipotecznych dom

pod kierownictwem jednego z inżynierów.

Dom ten uznany został przez komisję budowlaną za zagrożony ze względu na deformację zastosowanych nowoczesnych zastępczych materjałów, z których wykonane były ściany zewnętrzne, i w których ukazały się rysy. Wówczas zarząd spółdzielni zwrócił się do mnie, jako rzeczoznawcy, a następnie uprosił mnie do dalszego kierowania robotami. Zgodziłem się, poczyniłem należne poprawki i dom został przez komisję budowlaną przyjęty oraz oddany do użytku publicznego. Pozostają jeszcze dwa zarzuty, o których chcę powiedzieć. Budowa osiedla robotniczego w Janowej Dolinie i sprawa wystawy Ligi Drogowej. Gdyby pan

mógł zobaczyć Janową Dolinę przed budową

wspomnianego osiedla i dzisiaj, niepotrzebowałbym pana przekonywać o mojej pracy. Było strasznie. Ludzie mieszkali, jak zwierzęta, dzisiaj... Nie mówmy o tem. Napewno znajdzie pan okazję przekonania się na własne oczy, jak to wszystko dzisiaj wygląda i, podobnie jak na przykładzie kolejki na Kasprowy, przekona się pan czy ten Kodelski jest naprawdę takim „szkodnikiem". Wystawa Drogowa wreszcie jest istotnie w części wykonawczej dziełem moim, ale — służę panu sprawozdaniami kasowemi. Na ich podstawie stwierdzi pan bez trudu, że ani ja, ani moja żona, która jest też inżynierem architektem nie wzięliśmy z Wystawy ani grosza wynagrodzenia, ani grosza tytułem zwrotu kosztów wyjazdu czy djet, w jakiejkolwiek bądź formie. Tak wyglądałaby, panie redaktorze, moja odpowiedź. Jeśli uzna pan za stosowne podać ją do wiadomości publicznej — proszę, jeśli nie, niechaj pozostanie to wszystko między nami, jako dowód zaufania.

✶

Wywody inż. Kodelskiego przytoczyłem powyżej z możliwie jaknajwiększą dokładnością. Sprawozdania, oferty i inne dokumenty, które przedłożył mi do przejrzenia, łącznie z tem, co widziałem z Zakopanem każą mi wierzyć, że drukując w nr. 10 WIEM WSZYSTKO artykuł p. t. „Prawda o Kasprowym Wierchu", tygodnik, którego jestem kierownikiem

odstąpił od linji objektywnego

naświetlania faktów. Zdając sobie stego sprawę, dzisiaj w pełnem zrozumieniu krzywdy wyrządzonej inż. Kodelskiemu, drukuję powyższe wierząc, że chociaż na nikłym odcinku krzywda ta zostanie naprawiona.

Włodzimierz Popławski.

(Dokończenie ze str. 4-ej).

GRABIEŻ NA RÓWNEJ DRODZE

Słowem — grabież na równej drodze. Grabież o tyle bardziej skomplikowana, że jak wspomnieliśmy wyżej, Tenenbaum wyrzekł się wszystkiego na rzecz swych córek, zaś godny kompan Flaum przepisał wszystkie dobra doczesne na rzecz swej małżonki. W rezultacie, właścicielami „Bagateli" było dwoje ludzi zupełnie... biednych, którzy oczywiście nie płacą żadnych podatków, ciężar ten spychając na... Moszkowicza.

„Ciocia" Tenenbaumowa robi szereg mistrzowskich posunięć, które doprowadzają do tego, że aczkolwiek jest faktyczną właścicielką doskonale prosperującego przedsiębiorstwa, to jednak materjalnie — **nie jest w stanie odpowiadać...**

Niechcemy nużyć naszych Czytelników „technicznym" opisem tricków, dzięki którym zbierając śmietankę z doskonale prosperującego przedsiębiorstwa, sędziwa kombinatorka z niebywałym talentem potrafiła obronną ręką wychodzić z wszelakich opresyj skarbowych.

PRZEDSIĘBIORSTWO — KAMELEON

Faktem jest, że ani Frajndla Tenenbaumowa, ani Bronisław Flaum, zmieniając szereg razy firmę tego samego przedsiębiorstwa, ani razu nie zapłacili obowiązujących podatków ani też świadczeń socjalnych.

Ale, że maszyna podatkowa funkcjonuje naogół dość sprawnie, więc ktoś płacić musiał.

Tym kimś stał się... **Bogu ducha winien Franciszek Moszkowicz!**

Mając dla Franciszka Moszkowicza niewątpliwy sentyment na odcinku jego, naprawdę europejskiego lokalu, z całym objektywizmem musimy stwierdzić, że padł on ofiarą, nazwijmy to delikatnie: **jakiegoś nieporozumienia.**

Boć przecież nawet laik zauważy, że lwowskie władze skarbowe, które zamiast inkasować od istotnych właścicieli, bądź dzierżawców „Bagateli" należne podatki, obowiązkiem tym obciążają zupełnie niezwiązanego Moszkowicza i w stosunku do niego niecofają się przed wszelkiemi, dopuszczalnemi represjami, **te władze chyba naprawdę nie są w porządku i sama uczciwość nakazuje jaknajrychlejsze zrewidowanie dotychczasowych metod postępowania wobec przedsiębiorcy**, który, bądź co bądź na odcinku gospodarczym naszego życia położył o całe niebo większe zasługi, niż grubą aferę pachnąca „ciocią" Tenenbaumowa, która Bóg wie dlaczego cieszy się taką sympatją lwowskich skarbowców.

XYZ.

Tydzień ubiegły

Jak łatwo można było domyślić się, artykuły nasze: „Polska zawsze wierna Rzymowi“ i „Świątopietrze polskiej nędzy“ wywołały w Polsce dość duży rezonans, stały się do pewnego stopnia ośrodkiem mniej lub więcej istotnych dyskusyj, a także mniej lub więcej głupawych napaści na nasze pismo.

Wstęp drugiego artykułu („Świętopietrze polskiej nędzy“) poświęciliśmy właśnie dość pobieżnemu przeanalizowaniu tych odgłosów prasy, jakie do nas dotarły. Już potem, bo w numerze z ub. tygodnia artykułami naszemi zajął się poznański tygodnik „Kultura“, przyczem o pierwszym artykule naszym, „Kultura“ pisze, że:

„... był stekiem nonsensów, że nie warto było się nim zajmować; prasa codzienna te nonsensy musiała wytknąć! Czekałem więc, jak też pomysłowa redakcja „WIEM WSZYSTKO“ wykręci się z opresji.

Otóż wykręciła się. Poprostu nie czytała tego, co dla niej było niemiłe. Nie czytała nawet „Warszawskiego Dziennika Narodowego“.

Istotnie nie czytaliśmy nawet „Dziennika Narodowego“ i dlatego:

„W artykule „Świętopietrze polskiej nędzy“ po raz drugi powtarza urągające elementarnym wiadomościom „informacje“.

Tymczasem (według „Kultury“):

„... Dziecko przecież nawet wie, że państwo nie płaci Stolicy Apostolskiej ani grosza, a świętopietrze jest dobrowolną ofiarą składaną przez wiernych w kościele, że dochody z „iura stolae“ idą wyłącznie na utrzymanie duszpasterza i służby kościelnej w parafjach“.

Szacowna i dostojna „Kultura“ zaczyna zgoła nieprzystojnie galopować, a przecież jeśli tytuł pisma niema być jedynie pustym i beztreściwym szyldem, to mamy prawo spodziewać się od „Kultury“ tego właśnie minimum... kultury w polemice, której tak boleśny brak wyczuwa się chociażby na łamach wyżej cytowanego „Warszawskiego Dziennika Narodowego“. Zgóry rezygnując z roli mentora, ośmielamy się jednak zauważyć, że ta kultura w polemice, wyrażać się winna przedewszystkiem w... zgodnem z prawdą, niefałszowanem przedstawianiu rzeczywistości.

Otóż, w artykule „Świętopietrze nędzy polskiej“ odrazu w 1-szej szpalcie zaznaczyliśmy wyraźnie: „Milczeniem również pominąć musimy niesmaczne wycieczk i „Warszawskiego Dzien. Narodowego“. Pocóż więc używać fałszywego chwytu i pisać nieprawdę?

Polemiki z „Warsz. Dzien. Nar.“ prowadzić nie chcemy i nie będziemy, gdyż farbowane lisy z dawnej „Gaz. Warszawskiej“ są nam zbyt obmierzłe, byśmy się z nimi w jakiekolwiek mieli wdawać dyskusje.

Zresztą styl i poziom tej „odpowiedzi“ był tego rodzaju, że nie czuliśmy się poprostu na siłach dyskutować na równie „kulturalnej“ platformie.

Artykuły nasze były pisane zbyt poważnie i z dość zdaje się, wielkim szacunkiem dla Kościoła, byśmy je ściągali do poziomu rynsztokowej gwary. „Warsz. Gazety Narodowej“, czy jak się tam obecnie ten „organ“ nazywa.

I to jest wyjaśnienia numer pierwszy.

Dziwimy się tak świetnemu Kapłanowi, jakim jest redaktor ks. dr. Bross, iż w katolickim, poważnie redagowanym tygodniku dopuścił do, tak mało z kulturą wspólnego mającej, napaści na nasze pismo. W załączonych cytatach bowiem, przemawia „Kultura“ stylem... „Gazety Warszawskiej“, pardon „Warsz. Dzien. Narodowego“, a chyba ks. dr. Bross zgodzi się, że nieświetny to styl.

Nie wiemy czy każde „dziecko nawet wie“, że „państwa nie płaci Stolicy Apostolskiej ani grosza“ i „że dochody z iura stolae idą wyłącznie na utrzymanie duszpasterza i służby kościelnej w parafjach“ — ale wiemy dokładnie, że konkordat jest uzupełniony umowami dopełniającemi i precyzującemi zobowiązania państwa wobec kościoła.

Przypuszczamy, że ks. redaktor Bross, jeśli o tem dotąd nie wiedział, bez porównania łatwiej otrzyma odnośne informacje z sekretarjatu stanu Państwa Kościelnego, niż redakcja skromnego tygodnika z... działu duszpasterstwa zagranicznego jednego z naszych ministerstw.

„Dziennik Poznański“ był widać lepiej poinformowany od „Kultury“, skoro tę stronę zagadnienia wolał... pominąć milczeniem. Przynosi to zaszczyt redakcji tego pisma, mało bowiem ma z kulturą wspólnego chwyt polegający na przekonaniu, że strona przeciwna nie da się sprowokować do ujawnienia tajników umów dyplomatycznych, względnie, że będzie milczała z obawy represyj.

I to jest wyjaśnienia numer drugi.

Dodatkowo możemy poinformować dziwnie nie zorjentowaną „Kulturę, że tylko dwa państwa konkordatowe nie płacą świętopietrza: Niemcy i Italja, inne — tak.

W zakończeniu dodać musimy, że aczkolwiek nie jesteśmy zaopatrzeni w obfite subwencje Akcji Katolickiej i z wielkim wysiłkiem wydajemy nasz tygodnik, to jednak nie szczędziliśmy dotychczas 50-groszówek, przypuszczając, że przynajmniej z odcinka katolickiego znajdziemy w „Kulturze“ dużo ciekawych i prawdziwych wiadomości. Niestety, spotkał nas srogi zawód.

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

... w restauracji hotelu Europejskiego wynikła w tygodniu ub. bardzo ostra scysja między Hanką Ordonówną, a autorem licznych przebojów kabaretowych Marjanem Hemarem? Jak twierdzą świadkowie tego zajścia, p. Hemar ponoć nie zachował się specjalnie po dżentelmeńsku wobec przemiłej, a jednocześnie krewkiej p. hrabiny.

✱

... młody przemysłowiec, doskonały automobilista i rasowy uwodziciel p. Roman W. ostatnio okazał się niemniej utalentowanym hockeistą? Dyr. W. każdą wolną chwilę czasu spędza, jeśli jest oczywiście pogoda, na krypie u Kozłowskiego, gdzie z niebywałym talentem po kilka godzin bez przerwy gra... w automatycznego hockeia, zdobywając sobie i na tym odcinku tytuł mistrza.

✱

... głównym celem istnienia imprezy „Lido“, której nieco miejsca, we właściwej rubryce, poświęciliśmy w ub. numerze, jest — gra w karty? Aby nie opłacać koniecznych świadczeń i nie zwracać uwagi władz, organizatorzy „Lida“ wpisali się na członków Tow. Łyżwiarskiego, które jak wiadomo ma prawo w ramach swej organizacji grać w brydża. Nowi, wybitni łyżwiarze, innych amatorów karcianych szaleństw, nie członków wspomnianego Tow., wprowadzają do „Lido“, jako „zaproszonych gości“ i interes prosperuje.

✱

... łącznikami między spragnionymi kart gośćmi a organizatorami wyżej omówionego już „Lido“ są... kelnerzy, którzy gościom rozdają odpowiednio zachęcające kartki, łudząco podobne do kartek wciskanych w dłonie gości, oczywiście płci męskiej, przez pewien gatunek „pań pracujących“?

✱

... po powrocie z Berlina, komendant główny policji państw. gen. Kordjan Zamorski miał zamiar wprowadzić na naszych kadr policyjnych szereg inowacyj stosowanych na Zachodzie? Zasilenie korpusu oficerskiego policji przez oficerów służby czynnej zostało przyjęte przez społeczeństwo nader życzliwie, jako wiadomy dowód stałej dbałości komendanta głównego p. p. o jej oblicze moralne.

✱

... dom nr. 40 przy ul. Marszałkowskiej należał do jednego z wyższych, niedawno błyskawicznie dymisjonowanych urzędników? Nie byłoby oczywiście nic złego w tem, że w Polsce są jednak i zamożni urzędnicy, gdyby nie fakt, że we wspomnianej kamienicy od lat znakomicie prosperował zakonspirowany... dom schadzek. O istnieniu tej lukratywnej imprezy wiedzieli tylko: rządca i dozorca domu, jego lokatorzy, no i połowa mężczyzn stolicy...

FRASZKI

NA B. MIN. MICHAŁOWSKIEGO

Gdy kogoś tak intratna synekura czeka —
Drobiazgiem bez znaczenia jest stracona teka!

PO ZMIANIE GABINETU

Cały witz —
Więcej nic,
Tylko jedno słowo: Rydz!

NA ZIELONE ŚWIĄTKI

Świątki — porządki — śmieci wymiata się kupy...
Więc chyba czas najwyższy, wymieść... resztę „grupy“.

STAROSTA TORUŃSKI STWORZYŁ ORGANIZACJĘ POLITYCZNĄ „MŁOT I MIECZ“

1.

Rozumiem: „młot“... i „sierp“ rozumiem, lecz —
Co ma z tem wspólnego: „miecz“?

2.

„Młot“ — od młota i sierpa, „Miecz“ zaś — od Owupy —
Uśmiech w lewo — zez w prawo, w sumie zaś — do d..y!

3.

Poco? Naco? — sprawa prosta:
Chciał odznaczyć się starosta!

NA BAGIENKO FILMOWE

Każdy, kto się z tem zetknął, (na nieszczęście, blisko —
Mówi: „To nie bagienko — to jest... trzęsawisko!“

O KONSERWIE

Żalił się ogromnie „Czas“ — Konserwatysta,
Że go zewsząd spotyka wzgarda oczywista.
— „Dlaczego? Za co? Wszak my zawsze kupą
Z rządem i „grupą“!
A nietylko żadnego nie mamy uznania,
Lecz nikt nie chce naszego, nawet słuchać zdania!“ —
A ktoś: „słusznie! Bo co za zdanie ma... soliter,
Gdy ględzi, łeb wytknąwszy z głębi... czterech liter?“ —

O. Set.

Z PRZYCZYN OD REDAKCJI NIEZALEŻNYCH ZMUSZENI JESTEŚMY PRZERWAĆ DRUK DALSZEGO CIĄGU POWIEŚCI „MILJON“

Wart Pac—pałaca...

Kto ponosi winę za okropny poziom naszej rodzimej twórczości filmowej? Zaiste trudno byłoby na to pytanie odpowiedzieć kategorycznie. Przypadkowo jednak dostały się do naszej redakcji niektóre dokumenty, które rzucają dość osobliwe światło na stosunki, panujące w naszym świecie filmowym.

Jak już niejednokrotnie pisaliśmy, polskie filmy powstają prawie **bez kapitału, bez gotówki.** Sytuację ułatwia przeważnie dyrekcja t. zw. zero - ekranu stołecznego, która zgóry, nie znając absolutnie filmu, wypłaca producentowi większą lub mniejszą zaliczkę w gotówce lub wekslach, dzięki której producent wykańcza rozpoczęty film.

Oto opis filmów polskich, które w ciągu lat 1934 — 35 otrzymały z kin stołecznych (przeważnie kina „Pan“ i „Capitol“) większe zaliczki: „Wacuś“, „Dodek na froncie“, „Jaśnie Pan Szofer“ i „Bohaterowie Sybiru“ **po 30 tysięcy złotych,** „Czy Lucyna to dziewczyna“, „Co mój mąż robi w nocy“, „Czarna Perła“, „Antek Policmajster“, „Dwie Joasie“, „Manewry Miłosne“ **po 25 tysięcy złotych,** „Straszny Dwór“**— 20 tysięcy,** a „Pan Twardowski“ **— 18 tysięcy!!!**

Zastanawia jedna rzecz. W memorjale z dnia 9 sierpnia 1934 roku, jaki złożony został przez Związek Właścicieli Kinoteatrów w Warszawie do Wydziału Prasowo - Widowiskowego Komisarjatu Rządu m. st. Warszawy, czytamy dosłownie:“... **jeżeli zaś chodzi o tego rodzaju biura, jak pp. Rosena, Lebenbauma, Body, ludzi, nie rozporządzających jakimkolwiek kapitałem lub nie dających możliwych moralnych gwarancyj, a dotychczasowy dorobek których pozostawia bardzo wiele do życzenia, właściciele kinoteatrów muszą zachować jaknajdalej idącą ostrożność...“**

A wystarczy przecież spojrzeć na powyższą listę, aby się przekonać, że mimo zastrzeżeń, największe zaliczki wypłacili kiniarze warszawscy właśnie tym producentom. Gdzież tu więc konsekwencja? Tembardziej, dalej czytamy w tym samym memorjale: „...Co do pozostałych filmów, jak „Panienka z Poste - Restante“, „Reri“ (Czarna Perła), „Antek — Policmajster“ i „Obrona Częstochowy“, niestety nie można je (zachowujemy gramatykę oryginału!) traktować na serjo, ponieważ są dopiero w zamierzeniu, a z drugiej strony producenci tych filmów nie dają najmniejszej gwarancji, co do wykonania tychże wogóle, **a co do wartości artystycznej w szczególe“.**

I znów widzimy, że mimo tych zastrzeżeń, sam pan prezes związku (właściciel kina „Pan“) wpłacił po 25 tysięcy złotych zaliczki na poczet filmów „Antek - Policmajster“ i „Czarna Perła“, których producenci „nie dają najmniejszej gwarancji i t. d.“.

Przytoczony powyżej memorjał był odpowiedzią na skargę, jaką związek producentów filmowych złożył w magistracie, dowodząc, że właściciele kino - teatrów warszawskich odnoszą się wrogo do twórczości filmowej krajowej. Okazuje się więc, że ani producenci, ani kiniarze nie mają racji. Kiniarze odnoszą się **aż nadto pobłażliwie** do wyrobów krajowych, skoro płacą grube pieniądze za filmy, które sami uznają za szmiry!

Kiedyż wreszcie nastąpi koniec tego nieprawdopodobnego bałaganu, panującego w naszych stosunkach filmowych?

(s).

Dokąd warto, dokad nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Upiór na sprzedaż“ (Kino „Atlantic“).— Oczekiwaliśmy nowego filmu Rene Claira z wielkiem zainteresowaniem. Czekaliśmy na rahabiltację po „Ostatnim Miljarderze“, a pozatem jest to przecież pierwszy film Claira, zrealizowany w Anglji! Odrazu trzeba przyznać, że spotkał nas zawód, albowiem „małżeństwo artystyczne“ Rene Claira z Aleksandrem Kordą wydało owoc nienajlepszy. Wygląda tak, jakby gallicki humor Claira został przyduszony przez angielską flegmę, aczkolwiek p. Korda jest tylko... węgierskim żydkiem.

Temat „Upiora na sprzedaż“ jest sam przez się niezwykle dowcipny, ale z rozwinięciem samej idei scenarzyści nie dali sobie rady. Również nie dał sobie rady Rene Clair, którego błyskotliwy talent zajaśniał jedynie w kilku miejscach, dając satyrę, tryskającą prawdziwym humorem. Niestety nastąpiło to tylko w kilku miejscach. Realizator „Pod dachami Paryża“ i „Miljona“ odnalazł siebie w tych scenach, w których mógł dać gryzącą satyrę współczesnej Ameryki. (Kapitalna scena rozbiórki zamku, scena z gondolą, szkocko - murzyńska orkiestra, przywitanie upiora w Nowym Jorku etc.).

Ogółem wziąwszy, film jest dosyć ciężki, do czego przyczyniła się pewna powolność akcji, a przedewszystkiem gra głównego bohatera, Roberta Donata, który absolutnie nie dorósł do swego zadania, gasząc płomienie dowcipu bezbarwnością i nieudolnością. Jean Parker — bezbarwna. Wyróżnia się jedynie wykonawca roli bogatego Amerykanina.

Warto zapłacić pół biletu, aby uśmiać się do łez ze scen satyrycznych i przespać liryczne.

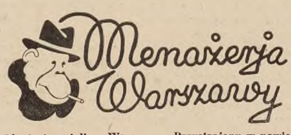
Nadprogram: bezwstydna w swojej głupocie i nieudolności rysunkówka wytwórni R. K. O.

„Roberta“ (Kino Majestic“). — Dla wszystkich amatorów i wielbicieli tańca. każdy nowy film niezrównananej pary Fred Astaire-Ginger Rogers jest poprostu ewenementem. Tym razem ujrzeliśmy tę fenomenalną parę w niefrasobliwej fantazji, której na imię— „Roberta“.

Rzecz dzieje się w ekscentrycznym magazynie mód w Paryżu, właścicielka którego, oraz prawie wszyscy pracownicy rekrutują się z rosyjskiej arystokracji. Daje to powód do przeróżnych komicznych gag'ów, w których uczestniczą: nasz stary znajomy Victor Varcony (w roli portjera) oraz Randolph Scott (siostrzeniec z Ameryki). W roli zupełnie nieodpowiedniej ujrzeliśmy świetną artystkę Irenę Dunne, której wielki talent nie pozwolił utonąć w... rosyjskich piosenkach. Oczywiście cały ciężar filmu spoczywa na barkach, a właściwiej — na nogach znakomitych tancerzy. Fred Astaire, jak zwykle, świetnie gra, a jego partnerka wygląda uroczo. Na specjalne wyróżnienie zasługuje „wytupany“ djalog.

Reżyserja Williama Seitera — składna. Szkoda tylko, że scenarjusz „Roberty“ zbytnio skłania się ku nieprawdopodobieństwom. Z uwagi jednak na znakomity taniec, można to wybaczyć.

X. 27.



Znają go wszystkie teatry stolicy. Wszędzie potrafi wśliznąć się, oczywiście bezpłatnie, jako mniej lub więcej „dyżurny“ lekarz. Zachowuje się przytem w ten sposób, że publiczność na widowni w żaden sposób nie może uwierzyć aby ten okazały pan, był istotnie inteligentnym i wykształconym lekarzem, owocnie pracującym na polu... jaknajdokładniejszego zbliżenia polsko - włoskiego. Jeśli spotkacie w którymkolwiek teatrze okazałego pana, który będzie wykłócał się z biletarami o prawo bezpłatnego wejścia na widownię, to on — bohaterski dromader naszej menażerji, ustosunkowany szwagier jednego z zagranicznych dyrektorów.

✶

Przystrojony w powierzchowność... amanta filmowego pełni w wielkiej spółce akcyjnej opartej o zagraniczny kapitał, odpowiedzialną funkcję jednego z dyrektorów, nota bene bezpośrednio kontaktującego się z publicznością, a że klijentów jest dużo, bo firma nie cieszy się specjalną sympatją społeczeństwa więc nasz dyrektor wyrobił sobie specjalny „genre“ załatwiania intresantów, w najwyższym stopniu arogancki i obraźliwy. Oczywiście, dla płci pięknej, a w dodatku dla naprawdę pięknej, pan dyrektor ma inny „numerek“. Jest wówczas obleśnie uprzejmy i chętnie godzi się na prolongaty... Aroganckí mydłek, najlepiej mieściłby się w klatce pawianów i tam też go lokujemy.

Do Redakcji

Otrzymaliśmy następujący list:

„Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule „Reflektorem po zielonych koszulach“ p. Paweł Krzowski pozwolił sobie zaatakować moją ajencję, w sposób uwłaczający. Sprawę skierowuję na drogę sądową uważając, że szarganie czci człowieka i jego pracy w sposób praktykowany przez p. Krzowskiego, musi znaleźć epilog na jaki zasługuje.

W imię prawdy proszę, o przyjęcie do wiadomości, że do tej właśnie potępionej ajencji, p. Krzowski zgłaszał się kilkakrotnie z propozycją współpracy. Ponieważ p. Krzowski za swoją pracę żądał wygórowanej zapłaty, propozycje jego nie zostały przyjęte.

Dla mnie więc atak p. Krzowskiego jest zrozumiały, lecz opinja, którą usiłuje informować p. Krzowski, niech już obecnie zorjentuje się, jakich metod chwyta się on, występując w charakterze publicysty.

Proszę przyjąć wyrazy należnego poważania

Henryk Dzendzel“.

SŁOWIK WARSZAWY



Urocza fenomenalnie utalentowana artystka operetkowa p. Basia Halmirska, zbiera zasłużone oklaski w komedji muzycznej „Kot w worku“ granej na scenie „Cyrulika Warszawskiego“ z niesłabnącem powodzeniem. P. Halmirska nietylko z wdziękiem interpretuje swe piosenki, ale potrafi jeszcze... gwizdać, jak chyba żadna inna artystka operetkowa.

Łączka kretynów

W bojecznie kolorowem“ piśmie, poświęconem zagadnieniom filmowym, od strony kuchni, znaleźliśmy ostatnio wywiad, dokonany w Wiedniu przez współpracownika tegoż pisma z Janem Kiepurą.

Jak wiadomo, amerykański film Kiepury nie jest arcydziełem. Nasz znakomity śpiewak **z właściwą sobie dezynwolturą** zrzuca jednak winę na innych. W wywiadzie wyżej wspomnianym mówi naprzykład o tem, że kierownicy produkcji zanadto wtrącają się do roboty filmu. Być może, trudno nam tutaj wiedzieć. Ale w złości swojej rzuca nasz znakomity tenor **gromy na Ernesta Lubitscha.** Gdyby nie ten wywiad, nie dowiedzielibyśmy się nigdy, jaką to odprawę dał Jan Kiepura natrętnemu Lubitschowi. Gdy mu ten zwrócił uwagę, że śpiewa za głośno, Kiepura odciął się, mówiąc: **„Ja wiem lepiej, bo Pan nakręca dopiero pierwszy film z Kiepurą, a ja już ósmy!“.** I odtąd Lubitsch dawał mu spokój. Świadczy to tylko o tem, że Lubitsch jest lepiej wychowany od naszego znakomitego tenora, bo mógłby mu z równem powodzeniem odpowiedzieć, że on wie lepiej, skoro już dawno nakręcał filmy, kiedy Kiepurze jeszcze się nie śniło o karjerze artystycznej, a tylko wkładał bułeczki do pieca w ojcowskiej piekarni w Sosnowcu.

A pozatem, to przecież mimo wszystko Lubitsch miał rację! Recenzent „Wiem Wszystko“ nie wiedział jeszcze o tym wypadku, a napisał w recenzji, że **Kiepura nie śpiewa, lecz ryczy!!** I tak niepomogło Kiepurze, że to aż ósmy jego film, bo w każdym razie, to najgorszy!

Stary pies.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9,— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł., Komunikaty 80 groszy. K o l u m n a p o s i a d a 4 s z p a l t y

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: K r ó l e w s k a Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz 10-ej do 13-ej Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor i Wydawca: **Włodzimierz Popławski**

Druk. Nowoświecka, Warszawa, Nowy Świat 57, tel. 2-72-16.